

Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven



Rozdział VII



~Orzeźwiający nocny powietrze było ciche, słychać było jedynie cichny pisk odległej sowy. Gwiazdy

Rozświetlały mroczny teren opactwa, a z okien sypialni na dwóch piętrach nikły blask kilku lamp naftowych. Po drugiej stronie dziedzińca rząd witraży również lśnił, ale olśniewająco – katedra tętniła życiem.

Wewnątrz lśniącego kościoła, górując wysoko nad głowami, misterny, pokryty sadzą fresk zdobił sklepiony sufit. Malowidło rozciągało się na niemal całej górnej części katedry. Pod nim, przy zewnętrznych ścianach, ciągnęły się dwa rzędy masywnych kamiennych filarów, ciągnących się przez całą długość głównego skrzydła. Razem podtrzymywały one łuki przyporowe, które wznosiły się ku niebu i znikwały w suficie. Tę samą solidną konstrukcję zastosowano we wszystkich czterech skrzydłach katedry, a w miejscu ich łączenia – w otwartej przestrzeni wspólnej – stał podniesiony ołtarz z zadaszeniem. Zwisające gobeliny i draperie zdobiły rzeźbiony drewniany baldachim ołtarza, a sakralny element centralny znajdował się na solidnej kamiennej płycie, która stanowiła środek posadzki. Po obu stronach płyty ołtarza leżały grube skórzane liny, przywiązane do zamkniętych żelaznych pętli, wystających z kamiennego fundamentu.

Kardynał Blasi stał przed podwyższonym ołtarzem, a para wysokich kandelabrow rzucała migotliwe światło na jego ramiona. Całkowicie pochłonięty tekstem na stosie kruchych kartek, które teraz tasował, mamrotał coś do siebie. Jego oczy łzawiły.

nad łacińskimi fragmentami Przekładów Naramsina, z którymi zbiegł z archiwów Apokryfów. W pobliżu bracia Klodiusz i Greville spokojnie oczekiwali na rozkaz. Oprócz nich trzech i brata Grate'a, który zajmował się przywiązywaniem ostatniego z kilku długich skórzanych sznurów do ośmiu metalowych pierścieni płyty ołtarzowej, katedra stała pusta.

W końcu Brat Grate podszedł do Blasiego. „Pęta są bezpieczne, Opacie; najdłuższa do najkrótszej – od zewnątrz do wewnątrz”.

Blasi na chwilę oderwał wzrok od zniszczonych stron. „Co to znaczy?”

Greville wystąpił naprzód, próbując wyjaśnić słowa Grate'a. „Po obu stronach kamiennej podstawy ołtarza znajdują się cztery haki. Do każdego z nich należy przymocować linę. Wszystkie liny muszą być...”

Klodiusz westchnął; przerwał Greville'owi i udzielił Blasiemu bardziej zwięzłego wyjaśnienia: „Płyta ołtarzowa spoczywa w dwóch rowkach w podłodze. Jeśli płyta nie zostanie równo odciągnięta, zaczepi się”.

Blasi uniósł brew, ale nie oderwał wzroku od papierów. „A jeśli się złapie?”

Klodiusz odpowiedział: „Cóż, jeśli się złapie, to trzeba ułożyć liny w odwrotnej kolejności – od najkrótszej do najdłuższej, z luźnymi końcami skrzyżowanymi na drugiej stronie ołtarza. Następnie płytę należy całkowicie zamknąć, zanim odwróci się liny” i ponownie go otwieramy.”

„Czy to trudne? Zaangażowane?”

Klodiusz wzruszył ramionami. „Tylko za długo – w chwili potrzebnej do zamknięcia i ponownego otwarcia dołu w podłodze”.

Blasi poinformował go: „W takim razie teraz powierzam ci zadanie dopilnowania, aby płyta nie łapie”. Klodiusz zeszywniał, gdy Blasi kontynuował: „I oczywiście pociągnę was oboje do odpowiedzialności za ewentualne poronienie”.

Clodiusowi opadła szczęka i spojrzał na Greville'a, który marszczył brwi na widok subtelny uśmiechu Grate'a. Skrzywił się, zanim odchrząknął. „Jeśli pozwolisz, Wasza Eminencjo, nie możemy zagwarantować, że płyta się nie złamie”.

Blasi powoli opuścił strony i odwrócił się do niego, mrużąc oczy. I zarówno Clodiusz, jak i Greville dostrzegli pod stalowym czołem Kardynała coś, co wyglądało na bardzo zimne, wyprane z emocji i zdecydowane spojrzenie samego Diabła. Niewidome oko Blasiego przeszło je wzrokiem, jakby chciał zobaczyć wszystkie naraz.

Klodiusz pospiesznie odwrócił wzrok i zamiast tego spojrzał w stronę ołtarza, błagając Blasiego: „Ołtarz nigdy nie został przeniesiony. Znamy jedynie sposób, w jaki... Przeprowadzając to przez starożytne zapisy opactwa. Zakładając, że nam się uda...”

Blasi przerwał mu; w jego słowach słychać było rosnącą niecierpliwość: „Jesteście teraz przede mną – nie w dormitorium – bo wciąż cieszycie się moimi łaskami. Oboje pragniecie zostać nowymi nadzorcami katakumb, prawda?”

„O, rzeczywiście!” – wykrzyknął Greville. „I pokornie służymy wam”.

Klodiusz spojrzał gniewnie na Greville'a, zanim odpowiedział: „Tak, ale jeśli ci się to podoba, Twój

Eminencja-

„W takim razie musisz uważać, żeby płyta się nie zahaczyła, tak!” warknął Blasi.
Klodiusz westchnął, ale posłuchał. „Zrobimy to, Wasza Eminencjo”.

Nagle zewnętrzne, podwójne drzwi skrzydła kaplicy otworzyły się gwałtownie, gdy kapitan Bourne wprowadził do kościoła dwie kolumny swoich najsilniejszych żołnierzy i ruszył środkową nawą, Podzielone długie rzędy tarasowych siedzeń. Dudniące kroki stu marszowych butów rozbrzmiewały w katedralnym oratorium. W końcu Kapitan krzyknął, żeby się zatrzymali, i żołnierze zamarli w bezruchu. A gdy jego głos rozniósł się echem po rozległych zabudowaniach skrzydeł kościoła, w katedrze zapadła nowa cisza.

Kardynał Blasi i trzech zakonnicy opactwa obserwowali zbliżanie się kapitana Bourne'a. Kapitan zatrzymał się przed nimi, podrapał się po policzku i oparł ręce na biodrach. Przesunął parę zielonych, badawczych oczu po katedrze, głównie badając... ołtarz z przymocowanymi do niego linami. Następnie wymienił spojrzenia z każdym z zakonników, po czym zwrócił się do Blasiego. „Zaczynamy?”
Blasi ponownie skupił uwagę na stronicach Naramsina, odpowiadając: „Już wkrótce, Kapitanie. Jest jednak kilka istotnych i dość istotnych szczegółów dotyczących ołtarza. Brat Klodiusz zaraz cię o nich poinformuje”.

Klodiusz wziął to sobie do serca i wyszedł. „Ach, tak, Kapitanie” – powiedział.
Mnich wyjaśnił Bourne'owi, jak ważne jest równomierne naciągnięcie płyty ołtarzowej, aby nie zablokować się na miejscu. Razem chodzili wokół ołtarza przez prawie trzy minuty, podczas gdy Clodius informował Bourne'a o tym, czego się od niego wymaga. Mnich kontynuował: „Dlatego rozmieszczenie twoich ludzi jest niezwykle ważne, ponieważ będą musieli walczyć o przestrzeń, gdy tylko zaczniemy”. Bourne spojrzał na osiem długich lin leżących na podłodze, w precyzyjnym układzie na jaskółczy ogon, rozciągających się na zewnątrz od płyty. „Jak teraz wiesz”, dodał Clodius, „zadanie przeniesienia ołtarza jest nieco skomplikowane — naprawdę, więcej niż można by wywnioskować z samych pozorów. Niemniej jednak potrzebuję dziewięćdziesięciu ośmiu twoich ludzi — ani więcej, ani mniej. A teraz jesteś gotowy?”

„Dość” – stwierdził Bourne.

„Rzeczywiście.” Clodius zmarszczył brwi i uniósł wysoko brodę. „Rozumiem.” Przyjrzał się szpecącej bliźnie na policzku Bourne'a .

Bourne pochylił się i szepnął: „Uważaj na swoje prawe oko, zakonniku, żebyś nie zmusił mnie do ratowania twarzy przed moimi ludźmi”. Clodius spojrzał ponad ramieniem Bourne'a , odkrywając, że dwie kolumny Gwardii Królewskiej wpatrują się w niego.

„No cóż.” Mnich prychnął i odwrócił się, przygnębiony. „Czy mamy zorganizować... twoich ludzi?”

„Ustaw ich jak uważasz za stosowne, kapłanie” – rozkazał kapitan Bourne, wskazując na swoich żołnierzy powolnym ruchem wyciągniętej ręki.

Klodiusz spojrzał na kardynała Blasiego, który jedynie skinął głową na znak aprobaty.

Klodiusz zajął się więc ustawieniem ośmiu rzędów żołnierzy na skórzanych linach. W sumie czterdziestu ludzi zabezpieczyło dwie skrajne liny, dwudziestu czterech chwyciło następną skrajną parę, dwudziestu chwyciło następną najgłębszą, a czternastu trzymało najgłębsze liny. Bourne ustawił ostatnich ze swoich ludzi – tych, którym nie przydzielono pozycji na Pęta – na zewnątrz katedry, by strzec każdego z trzech wejść. Wszystkie były na swoich miejscach; wszystkie gotowe. W ciszy, która zapadła w kościele, Klodiusz stanął za ośmioma rzędami żołnierzy, sprawdzając ustawienie każdego szeregu względem ołtarza. W końcu odsunął się i spojrzał na mnicha.

Grate z daleka skinął głową. Grate szepnął do kardynała Blasiego, który podniósł wzrok znad papierów i gestem ręki dał znak Bourne'owi. W odpowiedzi Bourne odwrócił się do swoich ludzi i ryknął komendy, okrążając ich szeregi. „Každy człowiek Ciągnie! Každy rząd unosi się jak jeden! Wszystkie rzędy dotrzymują kroku – ciąg na trzy; odpoczynek na trzy!” Zatrzymał się za nimi i splótł dłonie na plecach. „Na mój znak!” napięte liny napięły się. „Unoszenie!”

Dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy się naprężyło. Osiem lin zatrzeszczało. Mimo to ołtarz pozostał na swoim świętym miejscu. Blasi zmarszczył brwi, patrząc na Klodiusza. Greville się wiercił.

„Hurra!” Żołnierze ponownie odchyliłi się na linach, gdy zgrzyt sześciu ton przesuwających się kamieni rozniósł się po podłodze katedry.

„Hurra!” — i jeszcze kilka centymetrów.

„Hej!” — i jeszcze więcej.

„Hej!” — więcej.

"Falowanie!"

Przygotowany i niczym dobosz na statku, który wodził za nos wioślarzy, Bourne utrzymywał rytm. Jego żołnierze byli chórem syków i jęków. A z każdym nowym wezwaniem Bourne'a, Płyta odsłoniła bardziej brudną podłogę. Po przeciwnej stronie ołtarza niż Bourne, Blasi zobaczył, jak stopniowo wyłania się prostokątny otwór, z którego wydobywa się stęchlizna z dziesięcioleci. W końcu, gdy głęboki dół został całkowicie odsłonięty, rozległ się donośny łomot. przez kościół.

„Gotowe” – poinformował Blasiego Clodius. „Płyta nie może ruszyć dalej”. Blasi skinął na Bourne'a, kierując się w stronę otwartego dołu.

„Uwolnić!” krzyknął Bourne. Żołnierze zrzucili liny; pot lśnił na wyczerpanych ramionach; kilku mężczyzn upadło na podłogę, a inni pochyliłi się, ciężko dysząc. Mimo to, Większość mężczyzn stała wyprostowana, z głowami odrzuconymi do tyłu i otwartymi ustami, dysząc na widok sufitu ozdobionego namalowanymi Aniołami.

Bracia, Grate i Greville, umieścili na brudnej zewnętrznej krawędzi otworu kilka wysokich kandelabrow na podłodze. Blasi przyjrzał się oświetlonemu teraz zagłębieniu. Otwór o głębokości dwunastu stóp miał szesnaście na dwanaście stóp. Wszystkie cztery jego ściany były pokryte czarną żywicą, która przypominała cienką warstwę popiołu węglowego osadzonego na wewnętrznej powierzchni...

Dobrze zużyty komin. Mimo to, nawet pod brudem, Blasi dostrzegł podobny element wyryty na środku każdej ściany: ryciny krzyży, każdy z trzema koncentrycznymi okręgami otaczającymi jego środek. Jednak to, co go urzekło – co przyspieszyło bicie jego serca i oddech na tyle, by niemal zemdleć – to, co wyróżniało się z wyraźnie zwęglonej jamy.

Czarny i błyszczący, prostokątny kamień o wyraźnie zarysowanych krawędziach i ostrych narożnikach wyrastał z centralnego dna wnęki. Szkliste boki kamienia odbijały się w blasku kandelabrowego ognia – kamień wyglądał jak stojący blok wypolerowanego onyksu, wysoki na siedem stóp, szeroki na pięć stóp i głęboki na trzy stopy. Mimo to, monolit, mimo że solidny, posiadał pojedynczy, nieskazitelny, niezakłócony otwór o średnicy dwóch stóp, który przecinał serce najszerzej powierzchni kamienia. Całkowicie, rząd za rządem grawerowanych jego zewnętrzne powierzchnie pokrywały geometryczne inskrypcje, obejmujące również zakrzywione wnętrze ziejącego otworu.

Blasi w swojej wyobraźni rozważał podobizny szkiców Apokryfów z autentyczny artefakt, który teraz stał przed nim. Całkowicie zafascynowany, krążył wokół dołu, z błyszczącym błyskiem w jedynym działającym oku. Jego spojrzenie było puste – być może nawet wyrażało stopniowo narastającą prawdę, która rozwiewała wszelkie wątpliwości i niedowierzanie, że Piekło rzeczywiście istnieje, a jego wysokie kamienne wrota stały przed nim.

Z oddali kapitan Bourne zawołał do Blasiego: „Co jeszcze powinniśmy zrobić?” „Ach, tak. Zrobimy to” – mruknął kardynał, pozornie zahipnotyzowany obrazem Kamienia Bramnego, podczas gdy wspomnienia zmarłych braci pochłonięły jego myśli, przyspieszyły jego serce i wzbudziło w nim głęboką nienawiść do króla Anglii Edwarda. I w tej chwili wspomnienia i gorzki przypomniał sobie nieustający głos ducha Jeana Jacques’a Blasiego, który mówił do niego: „Skrywają tajemnice, broń, która może zniszczyć angielskiego króla. Musisz przejąć kontrolę nad tą bronią, Francois. Musisz ją użyć przeciwko niemu”.

„No i co?” – zapytał Bourne z rosnącą niecierpliwością.

Blasi przerwał swoje zachwycenie i warknął polecenie: „Bracie Gracie, kiedy już będę w środku, będę potrzebował wystarczająco dużo światła, żeby widzieć. I będziesz mi towarzyszył”.

Zwrócił się do Bourne’a: „Potrzebuję uwięzi i kilku twoich ludzi, żeby mnie spuścić za burtę”.

Mnisi i żołnierze byli zajęci.

Wkrótce Klodiusz i Greville zebrali się obok Blasiego, który teraz stał i patrzył na Strony Naramsina. Kardynał odwrócił się i zwrócił do Klodiusza, po czym powierzył mu stos papierów: „Znasz wagę tych pergaminów. Uważaj na nie; są delikatne. I NIE upuść ich, bo mam je w idealnym porządku”.

„Doprawdy, Wasza Eminencjo” – Klodiusz wziął je od niego. Jego głodne oczy przesunęły się po kruchych stronach, zdumiony, że trzyma w rękach starożytny tekst.

Blasi dodał z poleceniem: „Przekażesz mi je, kiedy po nie wezwę”.

Bourne kroczył obok żołnierza, który ciągnął linę w stronę dołu. Trzech żołnierzy podążyło za nim. Na skraju dołu żołnierze spuścili linę z jego boku i... pomógł opuścić Blasiego pod ziemię. Za nimi pospiesznie nadbiegł Friar Grate z małym siedmiopłomiennym kandelabrem. Zatrzymując się, sandał zsunął mu się z grubsza po brudzie wyściełającym otwór i omal nie wpadł do środka. Stał tam, trzymając światło i zwisając nad krawędzią, z pięścią Bourne'a mocno zaciśniętą na plecach szaty. Kapitan szarpnął go w bezpieczne miejsce i syknął przez ramię: „Jak na żwawego księdza, drwisz ze śmierci”.

W dole Blasi postawił sandały na podłodze i uwolnił linę. Kardynał otarł plamy z przodu szaty, ale uporczywa sadza pozostała. Rozejrzał się po ciemnym otoczeniu, zanim zawołał z dołu: „Mnichu Grate! Przynieście pochodnię!”. Żołnierze pomogli spuścić Mnicha Grate do dołu. Blasi podszedł bliżej ściany i wyciągniętą ręką skinął do Klodiusza: „Moje pergaminy; daj mi je”.

Clodius porównał brudną podłogę do swojej czystej szaty. Zamiast tego, podał plik papierów Greville'owi. „Daj mu je”. Greville spiorunował Clodiusa wzrokiem i wziął papiery. Greville położył się płasko na piersi, ponad krawędzią brudnej jamy, i podał kartki Blasiemu. Biorąc je, Blasi zawołał do Clodiusa: „Chcesz nadzorować katakumby opactwa; są one jednak równie brudne jak ta jama. Może rozważę twoją nominację”. Clodius tylko wyduł usta i spojrzał gdzie indziej.

Gdy już byli w otworze, Friar Grate podniósł rękę i wziął świecznik od jednego z żołnierzy, krzywiąc się, gdy krople gorącego wosku stoczyły się po spodniej stronie jego przedramienia. „Przynieś światło” – zawołał Blasi do Grate'a, zbliżając się do Kamienia Bramnego.

Gdy zakonnik oświetlał wypolerowaną powierzchnię Kamienia Bramnego, kardynał przyglądał się licznym rzędom wyraźnych, lecz nieczytelnych rycin, z których żadna nie pochodziła ani z języka francuskiego, ani łacińskiego, a mimo to układała się w płynną całość, niczym zapis w języku pisanym, o czym nie wiedzieli nawet najbardziej odcytani uczeni epoki. Co ciekawe, ryciny te nie były hieroglifami, lecz figurami geometrycznymi, które kardynał Blasi rozpoznał później w zbiorach tekstów ukrytych niegdyś w archiwum apokryfów. Blasi gestem nakazał Grate'owi pozostać na swoim miejscu. Kardynał odsunął się jeszcze bardziej od czoła Kamienia Bramnego i skupił się przed rycinami. Dokładnie w jego oczom ukazał się przepływ symboli układający się w pewien wzór – rzędy okręgów i linii, które mogły sugerować uporządkowanie inskrypcji, wymagających natychmiastowej wymowy. Jednak, podobnie jak wielokrotnie, gdy Blasi studiował identyczne symbole w księgach apokryfów, nawet do tego stopnia, że czuł się bliski wymówienia ich pozornego brzmienia, na powierzchnię wypłynęła jedynie nawracająca frustracja, że nie może. Spuścił wzrok.

do trzymanyh w ręku stron, zastanawiając się nad metodą, dzięki której zwykły duchowny opactwa o imieniu Naramsin zdołał przetłumaczyć tak tajemnicze inskrypcje na język łaciński.

Papiery Blasiego zatrzepotały, a płomień Grate'a zamigotał na chłodnym wietrze, który nagle owiał ich sandały. Razem spojrzeli w górę i zauważyli, że Clodius, Greville i Bourne wpatrują się w nich z góry. Blasi odprawił ich i ruszył w stronę Kamienia Bramy. Przechylił głowę, zjrzał przez otwór i zobaczył tylko ciemną, odległą ścianę jamy. Przyłożył opuszki palców do powierzchni Kamienia Bramy, która okazała się niespodziewanie lodowata. Ponownie cofnął się na dawną odległość i wpatrywał się w monolit, pocierając brodę i pogrążony w myślach.

Bourne odchrząknął głośno, jakby chciał wyrazić narastającą niecierpliwość. Blasi odpowiedział na ten hałas, nawet nie patrząc na niego: „To nie jest zabawa, Kapitanie. Niektóre przedsięwzięcia wymagają delikatności”.

Bourne prychnął, oparł ręce na biodrach i zaczął chodzić wzdłuż krawędzi dziury. „przeklęty idiota, skała” – mruknął.

Dopiero wtedy Blasi mimochodem odwrócił głowę w stronę Bourne'a i zmrużył oczy. „Kamień? Tak to odbierasz?”

Bourne potwierdził swoje twierdzenie, „Skała”.

Blasi podał Grate'owi stos pergaminów, podszedł do części dołu, tuż pod miejscem, gdzie stał Bourne i zawołał do niego: „Może pożyczylbyś mi swój sztylet, choć na chwilę?”

Bourne ścisnął wiszący u biodra nóż w pochwie z kościaną rękojeścią. „A dlaczego?”

„Ponieważ pragnę podzielić się z wami pewną informacją na temat tej „zwykłej skały” – jak ją tak łatwo nazywacie .”

Greville, stojąc niedaleko Kapitana, nachylił się do ucha Klodiusza i syknął: „On wnosi broń do Domu Bożego!”

Bourne dobył miecza. Kciukiem startł z jego wypolerowanej powierzchni cienką smugę krwi Iwana. Klodiusz, widząc nóż w świętych murach kościoła, zmrużył oczy i zacisnął szczęki, ale nic nie powiedział. Bourne skinął głową w stronę Blasiego. „Dobrze” – zgodził się, wrzucając go do dołu. Sztylet brzęknął o podłogę obok kardynała. „Podrap swój święty kamień i pokaż mi jego magię”.

Blasi pokręcił głową, sięgając po nóż. „Och, nie porysuję go. Mimo to, tym ostrzem mógłbym przyciągnąć twoją pełną uwagę”. Odsunął się i podszedł bliżej Kamienia Bramnego. Następnie lekko się skłonił i wbił nóż w jego środkowy otwór.

Bourne nasłuchiwał, aż sztylet wypadnie z drugiej strony otworu. Nic – jakby zniknął. Okrążył bok dołu, ale nie zobaczył noża na dnie. Clodius i Greville poszli za nim, obaj zmieszani. W końcu Bourne poinformował Blasiego:

„Widziałem lepsze wyczyny magiczne na Dworze Królewskim Jego Królewskiej Mości”. A teraz, jeśli chcesz; proszę o zwrot mojego ostrza.”

W jednej chwili sufit katedry rozświetlił się błyskiem światła, gdy sztylet Bourne'a rzucił się w jego stronę, przecinając lewy rękaw koszuli i kłując czubek buta. Zanim wbił się mocno w kamienną podłogę. Bourne upadł na zad, a but wciąż tkwił w miejscu. Spojrzał na sztylet, tkwiący teraz między palcami stóp, którego rękojeść pokryła cienka warstwa szronu. Obejrzał rozdarty rękaw i zobaczył cienką czerwoną linię, która perliła się na jego przedramieniu. Potem przeszukał sufit kościoła, ale znalazł jedynie fresk przedstawiający walczące anioły i demony oraz płaczących królów. Z uniesionymi brwiami i otwartymi ustami Clodius i Greville wpatrywali się w leżące ostrze. Blasi stał w cieniu dołu, nieświadomy tego, co działo się na zewnątrz. Odpowiedział Bourne'owi: „Niestety, nie można go zwrócić, Kapitanie. Ostrze już nie istnieje”.

Bourne złamał sztylet na końcu i wyciągnął go z buta, mruczając pod nosem jego oddech; „Spróbuj jeszcze raz, a zapomnę, że jesteś kardynałem”. Żołnierz rzucił się naprzód i wyciągnął pomocną dłoń. Bourne chwycił ją, a mężczyzna pospiesznie podniósł go na nogi. Wtedy kapitan szepnął do żołnierza, chowając tępy sztylet do pochwy: „Sierzancie Armond, czas dodać otuchy ludziom. Wiesz, czego oczekuję. A teraz, dopilnuj tego. Pospiesz się”. Armond ukłonił się i pomknął w stronę drzwi katedry, gdy Bourne przesunął badawczym wzrokiem po suficie, wołając za nim: „I przynieś mój hełm!”. Armond zatrzymał się i ponownie szybko skłonił, po czym uciekł.

Greville poinformował Blasię: „Ostrze spadło tutaj!”

Bourne ostrożnie podszedł do krawędzi dołu i zobaczył Blasię patrzącego na niego z założonymi rękami. „Czy to nadal skała, Kapitanie?”. Jednak Bourne rzucił mu tylko zaniepokojone spojrzenie. Blasi odwrócił się i poinstruował Clodiusa: „Dopilnuj, żeby wiązania na ołtarzu były odwrócone i ustaw żołnierzy Kapitana po przeciwnej stronie płyty, aby ponownie zamknąć dół”. Clodius skinął głową i odsunął się, ale zatrzymał się i spojrzał na Bourne'a z aprobatą. Bourne skinął głową i odprawił go zirytowanym machnięciem ręki. W ten sposób Greville poprawił wiązania, podczas gdy Clodius ustawiał żołnierzy na swoim miejscu.

W dole kardynał Blasi skupił już uwagę na Kamieniu Bramy. A kiedy Klodiusz ustawił ostatnich ludzi Bourne'a na linach, które odwinął Greville, kardynał odebrał z Grate'a Tłumaczenia Naramsina i polecił mnichowi trzymać świecznik w odpowiedniej pozycji – wystarczająco wysoko, by mógł odczytać zapisane wersety, nie oślepiając się przy tym i nie widząc całej twarzy Kamienia Bramy. Nagły odgłos kichnięcia żołnierza rozniósł się po wnętrzu katedry, a Blasi spojrzał w górę na Bourne'a. „Zażądam ciszy, Kapitanie”.

Bourne wydał swoim ludziom polecenie: „Ani dźwięku!”

Zapadła niepokojąca cisza, którą przerywał jedynie czysty i wyważony głos Blasię,

zaczął recytować z trzymanyh w ręku stron. „Et erit fugerit a voce formidinis cadet in faveam et qui se explicuerit de fovea tenebitur laqueo...”

Czas mijał, gdy Blasi okrążał Kamień Bramy, czytając na głos łacińskie wersety Naramsina. Friar Grate wisiał na jego rękawie, trzymając wysoko kandelabr. W końcu Blasi przestał chodzić i stanął twarzą w twarz z monolitem. Wyrecytował wówczas ostatni z wybranych wersetów: „—formido et fovea et laqueus super et qui habitator es terrae”. Następnie opuścił kartki i przyjrzał się kamieniowi. Minęła minuta, potem dwie. W końcu Blasi i Grate wyszli, by przyjrzeć się niezmienionej twarzy posągu.

W trzeciej minucie ciszy Bourne zawołał do Blasięgo: „Czy teraz udajemy , że widzimy armię duchów, Wasza Eminencja? Czy może wasz kamień zostanie opróżniony z... to jest magia, po tym jak błazen zrobił sztuczkę z moim ostrzem?”

Blasi podniósł wzrok i zwrócił się do Bourne'a z subtelnym uśmiechem. „Kapitanie, całe twoje życie to zaledwie chwila w porównaniu z tym kamieniem”.

Bourne skrzyżował ramiona i odpowiedział z drwiną: „Tak jak twoje życie, to samo, nawet w najmniejszym stopniu”. „kamyk”. Żołnierze zaśmiali się. „Cisza!” – zbeształ ich.

Clodius i Greville stali z dala od Bourne'a i jego ludzi, podczas gdy dwaj zakonnicy cicho rozmawiali między sobą.

„Muszę przyznać” – szepnął Greville do Klodiusza – „przez wszystkie lata mojej służby jako kapłan Rady Wyższej i pomimo wszystkiego, co czytałem o zapisach i wizerunkach na kamieniu, ani razu nie mogłem uwierzyć, że coś takiego naprawdę istnieje pod tym ołtarzem. Tylko udawałem, że w to wierzę. I jestem pewien, że większość braci z Rady Wyższej czuła i robiła to samo co ja, tylko ze strachu przed surową reprimendą.

„Teraz już wiemy” – odpowiedział Klodiusz, kiwając głową w stronę dołu.

„Ale czy naprawdę wierzyłeś, że on istnieje – że nasze Opactwo chroniło taki kamień?”

Klodiusz uniósł wysoko brodę. „Rzeczywiście”. Odchrząknął przed wpuszczeniem.

„Jednakże, ułożyłem kamień tak, żeby wyglądał inaczej niż szkice ze skryptorium”.

„Jak to?” zapytał Greville.

Klodiusz skrzyżował ramiona i zastanowił się, głaszcząc podbródek palcami, zanim odpowiedział: „Cóż, kamień wydawał się zbyt idealny w swoich przedstawieniach. Tylko Bóg jeden wie, ale uznałem, że wygląda to bardziej pospolicie – nawet jako prymitywny relikw z innej epoki”. Wskazał palcem na Greville'a, wpatrując się w dal. „Co więcej, dostrzegłem, że przypomina podobiznę tych wielkich, stojących kamieni w Anglii – tych starożytnych skały ułożone w okręgu; jeśli możesz sobie przypomnieć”

„Ach, te; tak, pamiętam je” – odpowiedział Greville, kiwając głową w stronę podłogi.

Potem zwrócił się do Klodiusza. „A co z Kobietą-Widmem Kamienia, z jej czarnymi oczami i grzesznym zalotem do niczego niepodjezwających mężczyzn? Czy wierzysz, że ona istnieje, jak twierdzą opat Vonig i inni – że jest Matką Groteski?”

Klodiusz skrzywił się, jakby nagle poczuł ból w pytaniu Greville'a . „Jak

Czy mógłbyś w nią wątpić? Ona nie tylko istnieje, ale ukazuje się w ciele; zimna i blada, a jednak tak żywa jak ty czy ja. Posłuchaj moich słów, Greville – Matka Demonów Groteski jest całkiem realna.

Greville pokręcił głową. „Nie widzę po niej ani śladu przez wszystkie lata spędzone w Opactwie. Nigdy mi się nie śniła, jak twierdzili inni”. Odwrócił się do Klodiusza, unosząc brwi. „Widziałeś ją?”

Klodiusz o mało się nie udławił, sapnął: „Nigdy nie będziesz podważał mojej wiary, Greville! Uważaj na swój język!”

„Och, nie; nigdy nie przypuszczałem, że ty... no, nigdy tego” – wykrzyknął Greville. „Zastanawiałem się tylko, czy ją widziałeś. Wybacz mi”. Klodiusz przewrócił oczami i spojrzał w mroczniejsze zakątki katedry – być może szukając ducha, którego tak doskonale pamiętał. Greville odchrząknął i zwrócił uwagę na Bourne'a, gdy Kapitan pospiesznie okrążał dół.

Bourne podszedł do dwóch żołnierzy klęczących przy krawędzi otworu; między nimi leżał luźny koniec zwiniętej skórzanej liny. Poklepał jednego z nich po ramieniu. „Wyciągnij linę z otworu i zamocuj na jej końcu pętlę – wystarczająco szeroką, by Kardynał zmieścić w niej stopę, gdy poprosi o wyciągnięcie”. Narastający odgłos kroków przyciągnął uwagę Kapitana do oratorium katedry, gdzie jego sierżant Armond i grupa żołnierzy pospieszyli w jego stronę. Oprócz zapasowego hełmu sierżant niósł w każdej ręce gotową do strzału kuszę. Czterech mężczyzn, którzy podążali za nim, miało tylko jedną kuszę. Wszyscy byli wyposażeni w płaską, skórzany kołczan z bełtami przytroczony do ud.

Kiedy dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy, stojących na uwięzi ołtarza, dostrzegło sierżanta Armonda i jego niewielką kompanię uzbrojonych ludzi, zaczęli narzekać między sobą, przewracając oczami z niezadowolenia. Wszyscy wiedzieli, czego nie robić – opuszczenie posterunku lub zignorowanie rozkazów byłoby aktem niewybaczalnym i nieodwracalnym. W rezultacie ogólny ton żołnierzy uległ zmianie, jak zawsze, gdy kapitan znajdował powody do zachowania większej ostrożności i wymierzania surowszych kar za nieposłuszeństwo.

Clodius podszedł do Bourne'a, łajając go: „Kapitanie, można ci wybaczyć miecz; ale ci ludzie noszą kusze! To Dom Boży! Nie możesz pozwolić...”

Bourne odwrócił się i pstryknął palcami w stronę Clodiusa i Greville'a, którzy zatrzymali się w pół kroku. „Wy dwaj!” Wskazał na odległą ścianę katedry, na dwie potężne kamienne kolumny. „Zajmijcie miejsca tam, za tymi filarami i pod ścianą, żebyście przypadkiem nie złapali zabłąkanej strzały – oczywiście”. Bourne spojrzał na nich gniewnie.

Klodiusz zmarszczył brwi, rozważając zawołowaną groźbę Kapitana. Dwaj mnisi pospiesznie odeszli, mijając rząd kolumn i zajmując miejsce pod dużym, wyrzeźbionym w kamieniu krucyfiksem Jezusa, wiszącym na ścianie. I tam...

stał ze skrzyżowanymi ramionami i zamyślony.

Bourne odwrócił się do Armonda i wyjął zapasowy hełm. Dopasowując nakrycie głowy, szepnął kusznikom: „Wiecie, czego oczekuję – żadnych wyjątków. A jednak... księżom dzieje się krzywda. A jeśli któryś z was przypadkiem skrzywdzi kardynała i jego pergaminy, to dopilnuję, żeby twoje stopy zostały odcięte i rzucone na pożarcie psom”. Bourne spojrział im w oczy, a łucznicy zaczęli się wiercić; ale sierżant pozostał nieugięty. Kapitan zwrócił się do niego, wskazując na wolny teren w pobliżu wejścia do oratorium: „Ustaw swoich ludzi dokładnie tam, gdzie są”. „Tak jest, Kapitanie.” Armond skłonił się i zwrócił do ludzi: „Chodźcie za mną.” Bourne patrzył, jak Armond wyprowadza żołnierzy, a w mgnieniu oka kapitan zamyślił się nad młodym, doświadczonym sierżantem, który zdawał się przypominać wersję jego dawnego, ambitnego ja.

Jednak dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy, stojących przy ołtarzu, zobaczyło Armonda i jego samotny oddział kuszników w zupełnie innym świetle. Obserwowali, jak sierżant ustawia swój niewielki szereg na zgiętych kolanach, z bronią gotową do strzału i celuje prosto w nich. Przyglądali się, jak wydaje polecenia swoim kusznikom, jednocześnie wskazując palcem na grupę dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy. Widzieli, jak gestykułuje w kierunku każdego z trzech wejść do katedry. Przyglądali mu się, gdy okręzał tyły nowo ustawionego oddziału i celował z kusz w plecy klęczących łuczników, po czym skinął głową w stronę kapitana Bourne'a. Podobnie zobaczyli, jak ich kapitan odpowiada swojemu zaufanemu sierżantowi podobnym skinieniem głowy. Mimo to znali procedurę; a dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi było teraz w pełni zachęcanych do wykonywania każdego wydanego im rozkazu.

„Rusza się!” – krzyknął Grate z głębi dołu. Bourne podszedł do otworu, żeby lepiej się przyjrzeć.

W zagłębieniu Blasi podszedł bliżej do Grate'a, który trzymał świecznik blisko wrytej powierzchni Kamienia Bramy. W grobowej ciszy, która trwała przez chwilę, mnich wyszeptał: „Tam”. Grate wskazał na szklistą, czarną powierzchnię – na odbicie wysokich, nieruchomych płomieni kandelabru, który trzymał wysoko. „Widzisz odbicie płomieni? Jak się załamują?” I choć nie powiał na niego żaden wiatr, Grate zadrżał z nagłego chłodu, który zdawał się wypełniać pustą przestrzeń dołu. Zerknął na niego. przez ramię i odkrył, że ściany szybu lśnią teraz od kropelek wody, które nagle skropliły się na brudnej powierzchni.

„Stój spokojnie” – warknął Blasi. Przesunął opuszkami palców po zimnej powierzchni Kamienia Bramnego; stał nieruchomo – całkiem solidnie. Mimo to odbicie płomienia kandelabru zadrżało, jakby lustrzane odbicie płomieni przechodziło przez falującą wodę. „Rzeczywiście” – mruknął Blasi, uważnie przyglądając się powierzchni. Potem odchylił się i pospiesznie cofnął o kilka kroków.

z Kamienia Bramnego. „Co to jest?”

Z bezpiecznej odległości Blasi i Grate byli świadkami nienaturalnego rozwoju wydarzeń, gdy kolejne rzędy wyrytych inskrypcji na Kamieniu Bramy zniknęły. Od prawej do lewej i od góry do dołu, linia za linią wyrytych symboli zdawała się znikać, pozostawiając na ich miejscu jedynie gładką powierzchnię czarnego, lśniącego kamienia. A gdy wszystkie inskrypcje zniknęły z pola widzenia – gdy wszystkie twarze Kamienia Bramy opadły gładkie jak czarne szkło, pełzające tafle opalizujących kryształków lodu rozpostarły się wachlarzowato, by teraz oszroniona statua. Utrzymujący się chłód w powietrzu nagle zmienił się w przenikliwe zimno, gdy Kapłani zauważyli, że ich oddechy zaparowały. Nagle cofnęli się pod ścianę jamy i obserwowali, jak niegdyś sztywne powierzchnie Kamienia Bramy zaczynają unosić się i toczyć, puchnąc i kurcząc, jakby cały pokryty lodem blok oddychał w wielu miejscach jednocześnie. Głęboki, dudniący dźwięk towarzyszył stale narastającej wibracji pod ich sandałami, a oni na chwilę wymienili zaczerwienione i ściągnięte twarze, po czym wpatrywali się w drżącą podłogę.

Poza jamą, przy ścianie katedry, stał brat Klodiusz obok jednego z wielu masywne kolumny; i ze skrzyżowanymi ramionami i wyniosłą postawą, potajemnie skarżył się bratu Greville'owi. „W zaciszu gabinetu opata kardynał osobiście wybrał ciebie i mnie, abyśmy mu pomagali. Właśnie w tej chwili powinniśmy być w tym „Do dołu, z Jego Eminencją”. Klodiusz pokręcił głową. „Prawdę mówiąc, to ja powinienem być tam na dole, zamiast brata Grate'a; znam się na kamieniu o wiele lepiej niż on!” – prychnął. „A jednak stoimy tu, pod ścianą, z dala od wszelkich istotnych wydarzeń, jak para nędznych giermków”. Skrzywił się z wyraźną odrazą. „A ten kapitan wystawia moją cierpliwość na próbę jak nikt inny”. Klodiusz westchnął i oparł się ramieniem o kolumnę. „Posłuchaj mnie, Greville; gdybym nie był tak uważny i troskliwy...”

Klodiusz zacisnął szczękę i spojrzał na kolumnę, o którą się opierał. Delikatnie położył przyłożył do niego dłoń – potem obie dłonie – potem ucho – i z głową przyciśniętą do niego, powiedział: „Greville; Oprzyj dłoń na tym filarze. Greville?” Klodiusz obejrzał się przez ramię i zobaczył Greville'a stojącego znacznie dalej, niż początkowo przypuszczał. Greville oparł się o ścianę kościoła, unosząc jedną rękę i lekko dotykając podstawy krucyfiks.

„Spieszcie się!” Klodiusz pomachał do Greville'a.

Jednak Greville nie odszedł od muru. „Rusza się!” zawołał, opuszczając rękę i wskazując na rzeźbę. Klodiusz zszedł z kolumny i podszedł do niego. Greville przyłożył ucho do krucyfiks, gestem nakazując Klodiuszowi uważniejsze słuchanie. „Posłuchajcie, jak drży!” Klodiusz pochylił się, przechylił głowę i usłyszał ciche, szybkie stukanie posągu, który wibrował, o kamienie ściany. „Kolumna też drży” – odparł Klodiusz, zerkając przez ramię na kolumnę, którą właśnie opuścił. Obaj kapłani natychmiast zmierzli ją badawczym spojrzeniem.

podłoga.

Greville przemówił. „Ściana – filar – teraz podłoga – może cały kościół drży?”

Klodiusz podniósł wzrok na fresk na suficie. Skomentował spod zmarszczonych brwi: „To nie nadaje się... do fresku”.

Klodiusz przyjrzał się rozległemu, wyniesionemu malowidłu. W jego centrum, wysoko nad ołtarzem katedralnym, znajdowały się pełne portrety trzech królów, otoczone pierścieniem niebieskawych płomieni. Dalej na zewnątrz, całkowicie go otaczając, znajdowały się wizerunki walczących Aniołów z mieczami, tarczami, napierśnikami i hełmami. Niczym powietrzna armia, Aniołowie ci zdawali się bronić Trzech Króli przed naporem uskrzydłonych Demonów, z których każdy posiadał groteskowe rysy, podobne do kamiennych posągów ustawionych wzdłuż górnych tarasów zewnętrznego dachu katedry.

Greville szepnął do Klodiusza: „Proszę cię, powiedz mi, co się stanie, jeśli nie jest on tym, za kogo się podaje, a zamiast tego okaże się, że sprzymierzył się ze Złem?”

Klodiusz skrzywił się i powoli się odwrócił. „A kogo masz na myśli?”

„Kardynał” – wykrzyknął Greville. „A co, jeśli zamierza coś więcej niż tylko przywołać Duchy przeciwko Anglikom? A co, jeśli sam jest diabłem i przybył do opactwa tylko po to, by otworzyć kamień?”

Klodiusz cofnął się. „Straciłeś równowagę? Głosisz herezję! Na litość boską, on jest kardynałem z Awinionu!”

Greville kontynuował: „Jestem mnichem z Rady Niższej, a mimo to nie znam fragmentów, które wyrecytował. Czy możesz je sobie przypomnieć?”

Klodiusz pochylił się nad twarzą Greville'a i zbeształ go. „To nie tylko mnich soborowy, ale i kardynał soborowy – z pełnym tłumaczeniem kamienia w rękę! Czyż nie byłby on o wiele bardziej biegły od nas obu, jeśli chodzi o Kamień Bramny?”

„Mimo to” – naciskał Greville – „Czy znasz któryś z fragmentów, które wyrecytował?”

Klodiusz chwycił go za ramię i warknął mu do ucha, co spowodowało wibracje w posadzce katedry – to skutek galopujących rumaków przed kościołem. Potem puścił Greville'a i zagroził mu: „Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę! Nie będę już więcej słuchał twoich heretyckich oskarżeń pod adresem naszego nowego opata. A teraz, opamiętaj się, bo stracimy oboje należne nam miejsca jako nadzorców katakumb!”

Greville odprawił Klodiusza z opryskliwym westchnieniem, po czym odwrócił wzrok. Zganiony zakonnik skrzyżował ramiona i spiorunował wzrokiem żołnierzy przy więzach ołtarza, którzy teraz wpatrywali się w drżącą podłogę. Niektórzy z nich szeptali z wyrazem zaniepokojenia, a wszystkie szeregi lekko się zatrzęsły, słysząc niespokojne ruchy żołnierzy.

Bourne stanął z trzema żołnierzami na skraju dołu i surowo obrzucił swoje zdenerwowane szeregi wzrokiem, zanim krzyknął do nich: „Ucziszcie się! Ucziszcie języki, bo...”

Następny mężczyzna będzie miał piękną namiętność do mojego słupa!" Odwrócił się. „Armond, bądź w gotowości; broń wycelowana!" Obrócił się z powrotem. „Wszyscy macie patrzeć na mnie – nie na siebie nawzajem; nie na podłogę; nie na kapłanów – tylko na mnie!" Prawie setka żołnierzy zamarła jak posągi w zastygłych pozycjach, z oczami utkwionymi w Kapitanie. Jedyne widoczne ruchy, w tym momencie, miały miejsce tuż pod butami Bourne'a, na podłodze dołu.

Wewnątrz otworu kardynał Blasi wycofał się do ściany i zaczął szukać zwisającej liny, lecz znalazł tylko śliską, zimną powierzchnię pokrytą skroploną wodą. Brat Grate przesunął kandelabr po lśniącej ścianie, szukając uwięzi. Płomień jego kandelabru natychmiast odsunął się od ściany i... w kierunku Kamienia Bramnego. Grate podniósł głowę, przeszedł górne krawędzie otworu i odkrył, że podobnie jak światło, które trzymał, wszystkie płomienie świec otaczające podłogę kandelabry również pochylały się w stronę środka dołu. „Kapitanie! Uwieź!" krzyknął Blasi, ocierając garść czarnego brudu o szatę i narzekając pod nosem. Potem zerknął ukradkiem przez ramię na wybrzuszony Kamień Bramy. „Teraz, proszę bardzo!" Żołnierz szybko opuścił linę, gdy Bourne poinstruował Blasię: „Wsuń stopę w pętlę uwięzi". Blasi złapał linę, gdy...

„Phsss!" Nagły odgłos ogłuszającego podmuchu powietrza wywołał nieustanny syk, przypominający pęknięcie komina wulkanicznego. Dwaj kapłani rzucili się o ścianę. Kandelabr Grate'a uderzył w podłogę szybu i jego płomień zgasł. Blasi zgubił tłumaczenia Naramsina; stos stron rozsypał się. Nagle, nawet na czworakach, pobiegł po podłodze, żeby pozbierać rozsypane strony; wciąż jednak czujnie obserwując Kamień Bramy i otwór w jego środku, który teraz się zapełniał z kłębiącą się czarną mgłą. Wrząca ciemność kłębiła się i dymiła, zanim wylała się z Kamienia Bramy jako gęsta chmura. Blasi chwycił ostatnią zabłąkaną stronę i rzucił się ku niej. Ściana, gdy gęsta mgła wpełzła na dno lochu i ukryła jego stopy w całkowitej ciemności. Wydawało się, jakby całe dno lochu zniknęło, całkowicie pochłonięte przez najczarniejszy z cieni.

Blasi chwycił linę, gdy tafle lodu, czarne od sadzy, zsunęły się po ścianie. Podniósł sandał i walczył z pętlą na końcu liny, gorączkowo szukając oparcia. Czarna mgła uniosła się na wysokość jego bioder. „Wyciągnij – Boże drogi! Wyciągnij mnie!" Wepchnął strony Naramsin w zęby i ścisnął linę. Grate wrzasnął, przedzierając się przez żrącą chmurę. „Pali się! To ogień!" Głos Bourne'a rozkazywał z góry: „Wy dwaj – pociągnijcie za linę! Wy – przynieście następną! Ruszajcie się!"

„Teraz!" – krzyknął Blasi przez zaciśnięte zęby. Żołnierze zaczęli wyciągać go z dziury, gdy na jego nogach pojawiły się pęcherze krwi. Grate wskoczył na Blasię i...

Natychmiastowe szarpnięcie dodatkowym ciężarem posłało jednego z dwóch żołnierzy z krzykiem w dół, wpadając w mgłę z obrzydliwym hukiem. Pozostały żołnierz krzyknął, gdy szybko zsuwająca się lina przypaliła mu dłonie. Kapłani razem zsunęli się z powrotem w sięgającą pasa chmurę.

„Do diabła, Kardynale!” krzyknął Bourne, chwytając linę, by zastąpić poległego żołnierza. Wezwał kolejnych sześciu ludzi. „Na tę linę! Natychmiast!”. Stopy zdrząły.

a lina zacisnęła się w tej samej chwili, gdy Blasi odepchnął Grate'a.

Kapłan zatoczył się do tyłu i zniknął w kłębiącej się mgłę. Samotnie, na linie, Blasi wspiął się po ścianie szybu. Żołnierze odciągnęli go w bezpieczne miejsce, jednocześnie wrzucając drugą linę do dołu. Blasi przetoczył się na plecy i chwycił za uda. Ciemne plamy przesiąkały przez zaprasowane części jego ubrania. Zesztywniał z bólu i z trudem łapał oddech, wciąż trzymając kartki w zaciśniętych zębach. Żołnierz uklęknął nad nim i sięgnął do rąbka jego szaty.

„ Nie dotykaj mnie!” krzyknął Blasi, krzywiąc się.

Klodiusz krzyknął z daleka: „Co ci jest, Kapitanie? Wyciągnijcie stamtąd brata Grate'a ! On umrze!”

Bourne obrócił się i wrzasnął do Armonda: , wskazując na Klodiusza: „Jeśli ten człowiek „Ruszaj się albo mów, zostaw go!”

Wciąż w dole, Grate podniósł się na nogi. Potykał się, macając, kaszląc i oślepiony żrącą mgłą, która teraz równomiernie sięgała mu do piersi. Bourne ryknął: „Nieudolne dranie! On nic nie widzi! Przysuńcie tę linę bliżej ... dajcie mi ją!”. Wyrwał linę swoim żołnierzom, okrążył bok dołu i wrzucił ją do środka, wołając jednocześnie do Grate'a. „Tędy; tak: idźcie do liny; tak; idźcie dalej; jestem tutaj!”

Grate znalazł linę i chwycił się jej, wciąż dusząc się palącą mgłą.

„Ciągnij!” krzyknął Bourne do szeregu mężczyzn za sobą. Wszyscy oparli się o

Lina i Grate wspięli się na ścianę dołu. Dopiero w połowie drogi do bezpiecznego miejsca, skóra Grate'a oderwała się od jego ramion, przyklejając się do ściany dołu niczym mokra chusteczka. Ciało wypłynęło z jego zaciśniętych. Zacisnął pięści i zsunął się po linie, spadając z powrotem we mgłę. Bourne zobaczył koniec liny, bez pętli, i warknął: „Przynieście mi drugą linę!”.

Raz jeszcze Grate zerwał się na równe nogi, a mgła wystawała mu tylko na brodę. Jednak, podobnie jak skóra na ramionach, która zniknęła, brakowało mu skóry uszu – całkowicie rozpuszczona . Teraz głuchy i ślepy, biegał jak oszalały wokół dołu, rękami macając po ścianach w poszukiwaniu liny. Upadł. Znow wstał. Bourne przygotowywał się do rzucenia drugiej liny, ale się zatrzymał. Nie zawołał za kapłanem; nie mógł. Nie rozpoznał nawet w poruszającej się czerwonej kuli ludzkiej głowy. Mimo to Grate krzyknął z przerażenia, a ton jego głosu został teraz straszliwie zmieniony przez gryzącą mgłę. I jeśli kiedykolwiek nastąpiła seria krzyków, która mogłaby wypalić się w trwałej pamięci nawet doświadczonych żołnierzy...

Z ich punktu obserwacyjnego dziewięćdziesięciu dwóch żołnierzy przy więzach ołtarza nie było w stanie dostrzec makabrycznego zdarzenia, które rozgrywało się na dnie jamy; mogli jedynie stać i słuchać niepokojących błagań zdesperowanego księdza, którego krzyki były krzykami spalonego żywcem człowieka. Oczy żołnierzy łzawiły; serca waliły jak młotem; oddechy przyspieszały. Mimo to pozostali niezłomni, oczekując na każdy rozkaz, jaki mógł im nadejść.

Ostatni krzyk Grate'a ucichł do czegoś więcej niż bulgotu, zanim w końcu pochłonęła go kłębiąca się mgła. Bourne szybko podszedł do Blasiego, który teraz leżał.. na boku, wijąc się z bólu, przerzucając strony, szukając porządku w ich wersach. Bourne pochylił się i warknął na niego: „Człowiek po prostu rozpułnął się jak świeca w tym Przeklęty – cokolwiek przywołałeś!” Bourne nachylił się bliżej do Blasiego. „Czy to twoja błogosławiona armia Duchów – czarna mgła? Posłuchaj mnie uważnie, Kardynale; straciłem człowieka z twoich rąk i nie stracę kolejnego! Wstań stąd i napraw to, co zrobiłeś, albo każę moim ludziom zasypać dziurę płytą”. Odwrócił się do sześciu ludzi, których przywołał z uwięzi, i rozkazał im wrócić na swoje poprzednie pozycje.

„Nie możesz tego zrobić!” – zaprotestował Blasi, sapiąc. „Muszę wyrecytować odpowiednie fragmenty, żeby zamknąć kamień. Ale nie możemy go zamknąć, dopóki nie pojawią się Duchy i nie wezwę ich do walki z Anglikami pod Crecy!”

„To zrób to teraz! Wyrecytuj wersety! Odeślij ich, a ja naciągnę na to płytę!”

„Nie ma żadnych Duchów do przywołania. Daj im... daj im więcej czasu. Mgła nie jest nimi!”

„Skąd możesz mieć pewność? Widziałeś kiedyś ducha?”

„Nie widziałem! A przecież widziałem wiele mgieł!”

„Widziałem i słyszałem już dość!” – krzyknął Bourne. „Zamierzam zamknąć tę płytę – wersety czy nie!”

„Posłuchaj mnie, Bourne!” – zawył z bólu Blasi. „Zasypanie dołu płytą nie zamknie kamienia. Nawet jeśli przykryjesz kamień – pod płytą pozostanie otwarty. Tylko właściwe wersety go zamkną!”

„Albo znajdziesz te swoje wersety, albo ja stanę się werselem, który zamknie tę przeklętą płytę!”

„NIE MOŻESZ! Nie możesz poganiać kamienia – ani mnie! Na litość boską, Kapitanie, spójrz na mnie! Ledwo łapię oddech z bólu!” Odwrócił się z powrotem do stron, przerzucając je drżącymi palcami, czytając. „Jeszcze chwilę, błagam cię” – jęknął, a łzy spływały mu po policzkach i był bliski szaleństwa od pieczenia w nogach.

„Nie mam chwili, Kardynale! Ta mgła unosi się nawet teraz! Kiedy wyleje się z otworu, stracę szansę na zamknięcie płyty. Moi ludzie są na miejscu i ta chwila należy do mnie. Teraz albo ty...”

„Hurra!” Bourne odwrócił się w stronę nagłego podmuchu powietrza, który dobiegł z dołu.

„Trzymajcie pozycje” – krzyknął do swoich ludzi. Kapitan obejrzał słabo oświetlony otwór, Płomienie wszystkich otaczających go kandelabrow na podłodze zgasły. Z wnętrza wiał lodowaty wiatr. Na kapturze ołtarza gobeliny powiewały na nieustającym wietrze.

„Nie! Łapcie je!” – krzyknął Blasi, szukając porzucanych kartek, które miały się po podłodze. Jednak kilka z nich wpadło w podmuch wiatru i wpadło do dołu. Poderwał się na równe nogi, przyciskając do piersi rozczochrany stos kartek. „Kapitanie, jak pan oczekuje, że... ten wiatr... nie mogę...” Bourne przerwał mu, wołając przez ramię: „Jeśli ci się nie uda, postawię cię na nogi”. aresztuję cię — i wrócisz ze mną do Paryża i opowiesz Jego Wysokości Królowi o tej obrzydliwości, którą Kościół w tajemnicy ukrywał”. Blasi jęknął, dźwigając się na nogi. Zataczając się, odszedł od dołu, krzywiąc się, gdy niósł kartki z dala od wietrznej dziury.

Bourne zawołał, zbliżając się do dołu: „Strażnicy przy drzwiach; będziecie moimi pochodniarzami! Zwolnijcie się ze stanowisk i sprowadźcie z dziedzińca dodatkowe zastępy – siedmiu uzbrojonych ludzi do zabezpieczenia zewnętrznych krawędzi każdych drzwi, których teraz pilnujecie. Powiadomcie ich, że każdy, kto spróbuje wejść do kościoła, zostanie ścięty! A teraz, uciekajcie!” . Strażnicy natychmiast się rozbiegli i zatrzasnęły się trzy wrota katedry. Bourne obejrzał się przez ramię. „Armond, miejcie oko na wszystko, co się rusza!” . Odwrócił się. „Ludzie na uwięzi; bądźcie gotowi pociągnąć jak jeden mąż – na Następnie, wyciągając złamany sztylet, Bourne ostrożnie podszedł do otworu.

Po drugiej stronie katedry Greville otarł łzy z policzków, wziął głęboki oddech, podniósł wzrok z podłogi i zwrócił się do Klodiusza, zadając mu gniewne pytanie: „Teraz, gdy brat Grate nie żyje, czy wierzysz, że podłoga nadal trzęsie się od galopujących rumaków przed kościołem?”

Clodius zmrużył oczy, po czym skrzyżował ramiona i oparł się o kolumnę. „Uważaj na słowa, Greville. Gdybym nie pozwolił sobie na strzał w plecy, nie mógłbym nic zrobić, żeby uratować Grate’a. A dlaczego ty nic nie zrobiłeś?” Clodius potrząsnął głową. głowę i kontynuował: „Poza tym nigdy nie nalegaliśmy, żeby zszedł do tego dołu. Wybór należał do niego, wyłącznie do niego – i zrobił to tylko po to, by wkraść się w łaski kardynała. A teraz powstrzymaj swoje jęki i zniż głos, bo inaczej rozstrzelasz nas obu! Klodiusz kaszlnął i odwrócił wzrok w stronę dołu. Zapadła między nimi chwila ciszy.

W końcu Greville wyszeptał: „Coś się dzieje w dole. Wszystkie płomienie kandelabrow zgasły. Czuję też silny wiatr”. Spojrzał prosto na Klodiusza. „Powinniśmy wymknąć się z kościoła, póki strażnicy nie stoją przy drzwiach, a Kapitan stoi do nas tyłem”.

„Widzisz?” Klodiusz dyskretnie wskazał na drugą stronę katedry, kaszłąc ponownie. „Nie dojdziemy nawet do drzwi”.

Greville spojrzął przez ramię Clodiusa i dostrzegł, że Armond patrzy na nich prosto w oczy. Greville szepnął do Klodiusza: „Ale nie będzie nas obserwował w nieskończoność. Może usiądziemy na podłodze, a on się odwróci?”

Clodius uległ kolejnemu uporczywemu kaszlowi. Kątem oka Greville przyglądał się opuszczonej fasadzie kościoła. Przewracając oczami, szukał dogodnej drogi ucieczki, wodząc wzrokiem po całym murze zewnętrznym. Za nimi zauważył kamienny krzyż na murze, na którym wisiała rzeźbiona podobizna ukrzyżowanego Jezusa — wisząca statua kołysała się jak powoli poruszające się wahadło. Greville odsunął się, by przyjrzeć się bliżej, po czym wykrzyknął: „Widzisz, jak się rusza?” Wskazując na kołyszący się krucyfiks, spojrzął na Klodiusza, który machał ręką przed twarzą i wciąż kaszlał. Dopiero wtedy, w nowym świetle, Greville dostrzegł Cienką warstwę pyłu osiadała nad Klodiuszem, opadając z górnych krawędzi kolumny. Obaj kapłani natychmiast spojrzeli w górę, szukając źródła pyłu. „To luźna zaprawa murarska” – stwierdził Klodiusz. Odsunął się od kolumny, odchrząknął i rozejrzał po wysokim suficie, po czym spojrzął na Greville’a, który stał przerażony, z dłońmi na ustach i szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w fresk na suficie. Klodiusz podążył za jego wzrokiem i w najwyższym punkcie sufitu dostrzegł trzech namalowanych królów, którzy wyglądali, jakby odwrócili głowy i wpatrywali się w dół, bezpośrednio w nich dwóch.

„To niemożliwe” – mruknął Klodiusz, trzymając się za czoło. „To tylko fresk. Oświetlenie, a może kurz, sprawia, że wydaje się poruszać”. Obaj księża wycofali się za rząd kolumn i podeszli do ściany kościoła. Greville wyszeptał: „Boże drogi, co myśmy... zepsuli?”

Troje drzwi katedry otworzyło się i zatrzasnęło z powrotem. Bourne uklęknął obok dołu, zaglądając w jego mroczne głębiny, gdy otoczyło go sześciu żołnierzy z dwunastoma pochodniami. Pod tańczącymi płomieniami pochodni ich włosy i ubrania powiewały na spokojnym wietrze; a gdy otwór został oświetlony, Bourne zerwał się na równe nogi. „Wycofać się!” krzyknął, machając rękami do swoich ludzi, cofając się o kilka kroków, zanim zatrzymał się w bezpiecznej odległości, by spojrzeć na zaskakująco nowy kształt Kamienia Bramy, który teraz dominował nad przestrzenią otworu.

W migoczącym świetle pochodni i lodowatym wietrze, oddechy żołnierzy spowijała mgła. Bourne przyjrzał się wirującej kolumnie, która wyglądała jak małe, nieruchome tornado, stojące w miejscu Kamienia Bramnego, który znajdował się pośrodku dna szybu, wznosząc się tylko nieznacznie wyżej, niż poziom podłogi katedry. Szczyt czarnej, wirującej kolumny był tak szeroki jak jej podstawa; i choć jej środek wydawał się pusty, widoczna pustka była zbyt ciemna, by ją dostrzec. Jednak w pobliżu jaśniejszej krawędzi dołu Bourne zauważył, że atramentowa mgła, która niegdyś groziła przelaniem się przez krawędzie otworu, zaczęła się cofać, opadając niżej, wzdłuż ścian dołu, coraz głębiej w głąb, jakby stopniowo wciągana przez wir. A w rozpraszającej się mgle ukazała się podłoga dołu, odsłaniając rozległe, martwe sylwetki księdza i żołnierza. Bourne

Wezwał swoich pochodniowców. W coraz silniejszym wietrze żarzące się węgle buchały z płomieni pochodni. Bourne trzymał sztylet w pogotowiu, zbliżając się do dołu.

Zatrzymali się na skraju ciemnego otworu. Żołnierz uniósł wysoko pochodnię i skierował ją w dół. „Kapitanie, oni jeszcze żyją!” Bourne obserwował, jak cienie przewracają się na plecy. Obie sylwetki zdawały się zmieniać, tocząc się w kierunku podstawy wiru, poruszając się coraz szybciej w miarę zbliżania się do niego. Kapitan miał właśnie zawołać o liny, gdy zdał sobie sprawę, że nie poruszają się same. Zwłoki ślizgały się po podłodze, a wir je pochłonał.

Natychmiast, z jednostajnego szumu wiru rozległy się dudnienia – głucho łupnięcia, niczym wielkie bryły błota, uderzające o siebie wielokrotnie. Bourne cofnął się. Wpatrywał się w najbliższą ścianę wiru, gdy czarne i nierówne kształty wyłaniały się, otaczając jego zewnętrzną krawędź, zdając się ścigać się nawzajem przez obracającą się kolumnę. Gładkie krawędzie czarnego wiru ustąpiły miejsca nierównej powierzchni ciemnych i nieregularnych form. Wtedy pojedynczy element odchylił się, wciąż przyczepiony do wiru. W kółko, wystająca część krążyła wzdłuż kolumny, luźna i w pełni rozciągnięta. W tym momencie, przez słabą mgłę wirującego ruchu, Bourne rozpoznał latającą rzecz jako bezwładne i kołyszące się ramię i dopiero wtedy odkrył, że cała kolumna przekształciła się w zbiór poczerńiałych, wirujących części ciała.

Bourne upuścił sztylet; brzęknął o podłogę. Uniósł ręce w geście porażki i zwrócił się do stojącego obok żołnierza z wymuszonym zadowoleniem: „Jego Królewska Mość zapewnił mnie, że mogę cieszyć się pobytom w towarzystwie dobrych zakonników w spokojnym opactwie – mnóstwo jedzenia, błogosławione wino z opactwa – może polowanie na dziki i pieczeń dla szeregowych...”. Bourne chwycił żołnierza za kamizelkę, jego oczy płonęły gniewem, i wskazał palcem wirującą kolumnę. „Co to – na Boga – jest?”. Bourne odepchnął oniemiałego żołnierza, odmaszerował i pospiesznie zaczął się kręcić w kółko, odgarniając włosy z oczu i rozglądając się po najdalszych zakątkach katedry. „Dość tego! Kardynał? Armondzie, gdzie jest kardynał?”

Po drugiej stronie kościoła sierżant Armond otarł łzawiące oko ramieniem. Pod nosem przeklął drobinę kurzu, która nieprzerwanie opadała z góry, osiadając na nim i jego niedużym szeregu kuszników. „Nie widzę kardynała, kapitanie” – zawołał Armond, mrużąc oczy i poprawiając dwie kusze na plecach swoich ludzi.

Huk! Z sufitu spadł wielki kamień, roztrzaskując się o podłogę zaledwie kilka stóp przed oddziałem. Dwóch kuszników zerwało się na równe nogi.

Armond rzucił się naprzód. „Nie zmuszajcie mnie do niczego” – warknął, przystawiając im kuszę do karków. „Zajmijcie pozycje”. Mężczyźni wrócili na kolana,

Wycelowali broń w żołnierzy na uwięzi. Armond cofnął się, celując w nich obiema lufami. Jednak jego wzrok był skierowany gdzie indziej – na dwóch zakonników po drugiej stronie katedry – aby nie stracić z oczu kolejnego księdza i nie rozczarować kapitana.

Clodius i Greville poruszyli się nerwowo, patrząc w stronę drzwi kościoła. Natychmiast odwrócili się, by dostrzec Armonda wydającego polecenia jednemu ze swoich kuszników, a klęczący żołnierz zamachnął się bronią w stronę zakonników.

„On nas zastrzeli!” krzyknął Greville, mocno chwytając Klodiusza za szatę.

Klodiusz go zbeształ: „Może i tak... z twojego powodu!” Odepchnął Greville'a. „Skoro nie potrafisz się powstrzymać, kusza jest teraz wymierzona w nas obu”. Prychnął, unosząc nos do sufitu z widoczną pogardą.

Greville poskarżył się: „Nie jesteśmy tu bezpieczni! Łuki spadają...”

„Matko Jezusa” – mruknął nagle Klodiusz, gapiąc się w sufit. „To nie może być prawda”.

Wysoko nad ołtarzem, niewidoczni dla nikogo poza dwoma kapłanami, trzej królowie z fresku zdawali się ożywać, miotając głowami, z twarzami wykrzywionymi wyrazem skrajnej agonii. Jednak ich ruchome wizerunki nagle zamarły w bezruchu, z otwartymi ustami i szeroko otwartymi oczami, patrząc teraz na Klodiusza i Greville'a. W tym momencie ich zamrożone twarze zaczęły trzeszczeć i płońć, uwalniając chmurę rozpraszającego się dymu i deszcz zwęglonych plamek farby, które opadały na podłogę niczym czarny śnieg. Dopiero wtedy żołnierze spojrzeli w górę, szukając źródła popiołu, który na nich osiadł.

Klodiusz kaszlnął i machnął ręką przed twarzą, próbując rozproszyć drobinki opadającego pyłu. Następnie zaczął szukać przyczyny ostrych, trzaskających dźwięków, przypominających te, które wydają przegrzane skały pękające w zimnej wodzie, i odkrył pęknięcia rozchodzące się promieniście po całej powierzchni masywnego filaru, który górował obok niego. Odsunął się od kolumny, oglądając ją z dystansu i obserwując strumień pyłu, który spiralnie opadał po jej zakrzywionej powierzchni. Nagle szczeliny się poszerzyły, a duże bryły kamienia oderwały się od kolumny, rozbijając się o posadzkę z ogłuszającym hukiem, który natychmiast przykuł uwagę wszystkich oczu w katedrze. Gdy fragmenty filaru oderwały się od ziemi, przez kurz i spadające gruzy, Klodiusz zauważył, że kruszenie się kolumny nie było przypadkowe, ponieważ odstłonięta część głębi nieprzerwany kamień ukazał się jako gładka powierzchnia boku gigantycznej, wyrzeźbionej w kamieniu nogi.

Gdy spadające skały zaczęły spadać, mnichowi stało się jasne, że spod spadających odłamków stopniowo wyłania się potężny posąg. Ta kolosalna postać przedstawiała... Olbrzym w zbroi, dzierżący długi miecz. Jego druga ręka spoczywała pod kamiennym blokiem podtrzymującym dach katedry. Okryty fartuchem z cienkich płyt pancernych, stał w spartańskim stroju bojowym, przypominającym strój starożytnego rzymskiego wojownika.

Zakrzywione płyty pokrywały jego dolne partie nóg i górne części ramion, a pełny hełm był okrągły ze wszystkich stron, a najwyższa część nakrycia głowy zbiegała się ku górze w tępy szpic. Pomiędzy szerokimi wargami leżały ostre końce rzędów postrzępionych zębów, a pośrodku czoła znajdowało się pojedyncze cyklopowe oko.

Greville przemknął obok rzędu kolumn i stanął skulony pod zewnętrzną ścianą katedry. Oderwał wzrok od majestatycznego posągu Cyklopa i spojrzał w stronę dziwnego ruchu, który dostrzegł kątem oka.

Tam, pod ścianą, tuż obok i tuż nad nim, wisiał rzeźbiony krucyfiks z kamienną podobizną Jezusa – poruszał się. Greville wpatrywał się w figurkę Jezusa ; jej pierś gwałtownie unosiła się i opadała, jakby walczyła o oddech. Mnich jęknął do siebie i osunął się po ścianie. Przytłoczony, zwinął się w kłębek, by zapłakać i modlić się o to, by obudzić się z tego, co wydawało mu się koszmarnym snem – by nagle odkryć, że znajduje się w spokoju swojej sypialni . Klodiusz krzyknął do Bourne'a, wskazując na nowy posąg Cyklopa: „ Widzisz, Kapitanie! Na litość boską, czyś ty oszalał? Twój żołnierz nie mają nic przeciwko temu! Musimy stąd wyjść, natychmiast!”

Jednak Bourne był odwrócony plecami do Klodiusza. Kapitan krzyczał rozkazy do żołnierza przy więzach ołtarza, który w międzyczasie puścił linę i wypadł z formacji. „Nie opuszczaj stanowiska! Wracaj na więzy, natychmiast!”. Zamiast tego żołnierz uciekł, pędząc w stronę drzwi katedry. Kapitan również szybko się odwrócił i krzyknął: „Armond!”

Nagle kusze trzasnęły, bełty poleciały, a mężczyzna upadł na podłogę z kilkoma strzałami wbitymi w plecy. Wił się, dusił i umarł. Dopiero wtedy Bourne zwrócił się do Klodiusza, wskazując go palcem: „Cisza, kapłanie; CISZA !”

Bourne odwrócił się i przeczesał rozwiane włosy, spinając je za uszami. Ruszył w stronę swoich pochodni . „Podejdźcie ze mną do dziury! Osłońcie płomień przed wiatrem ! Zbierzcie się i trzymajcie pochodnie zapalone; każdy płomień zapala następny!” Zbliżył się do krawędzi dołu. W słabym blasku pochylonych płomieni pochodni zobaczył pęknięcia tworzące się w ścianach dołu, pnące się w górę i ponad najwyższą krawędź obwodu wnęki . Mimo to pęknięcia rozchodziły się promieniście od Kamienia Bramy, przez wyższą posadzkę katedry, aż do jego butów. Bourne cofnął się. Wewnątrz

dół, wirujący lej jęczał; stawał się coraz głośniejszy, zdawał się nabierać prędkości. W jego jęku słychać było narastające tony wielu krzyków, które razem przypominały ogromne zgromadzenie niepojętego cierpienia – niczym ryczący chór tysiąca torturowanych dusz.

Bourne zawył: „Gdzie jest Kardynał?”. Mimo to jego wzrok spoczął na czarnym, wirującym monstrum ściśniętych części ciała, które teraz miał przed sobą. Potem rozkazał jego niosący pochodnie, krzyżąc ponad hałasem, gdy odpychał żołnierzy od dołu: „Padnijcie

Wróćcie! Wszyscy, oprócz waszej trójki — trzymajcie na nim światło. Wy dwaj; chcę więcej pochodni w tym kościele! Zajmijcie się tym! A wy; zajmijcie swoje miejsca na uwięziach!” Zawołał do Armonda. „Bądźcie gotowi!” Potem ryknął do wszystkich swoich ludzi, gdy krążył za nimi: „Na mój znak; zamykamy płytę! Ustawcie się równo jak poprzednio! Idźcie w tym samym tempie. A jeśli zobaczę, że choć jeden z was podniesie na mnie głowę...” Mimo to Kapitan zamknął usta, powoli odwrócił się w kierunku dołu i wpatrywał się w gładki, szkarłatny kształt, który powoli wyłaniał się ze środka wirującej kolumny ciemnego ciała.

~*~

Po drugiej stronie katedry Klodiusz porzucił Greville'a i uciekł w stronę drzwi kościoła, gdy bełt z kuszy uderzył w skalną ścianę. Iskry wybuchły w odległości wyciągniętej ręki. Twarz Clodiusa, nagle przekonała go, by się cofnął i rozważył ucieczkę. Wycofał się do Greville'a, który wciąż leżał skulony na podłodze. Z daleka dostrzegł kusznika przeładowującego i ponownie celującego do niego. Clodius podszedł do Greville'a, teraz czujnie obserwując gigantyczny posąg Cyklopa z głową zwróconą w dół, który zdawał się badać kapłana swoim jedynym, nieruchomym, kamiennym okiem. Klodiusz pocieszył Greville'a, klepiąc go po ramieniu. „Weź się w garść. Musisz być silny, jeśli mam ci pomóc uciec”.

Greville usiadł i otarł oczy. „Tak... stąd. Chciałbym ... tak... wyjedziemy ”. Szkliste oczy Greville'a przewracały się, jakby szukały czegoś gdzieś w kościele, ale nie mogły tego znaleźć. Mimo to jego oczy zdawały się odkrywać wszystko naraz, tylko w zupełnie innym świetle. Wymamrotał: „Jestem zmęczony. Powinienem wrócić do dormitorium i odpocząć przed porannymi nieszporemami”. „Rzeczywiście”. Klodiusz zgodził się z niedorzeczną sugestią Greville'a, aby nie przerazić mnicha nowymi wyobrażeniami o ich straszliwej sytuacji. „I powinienes. Czas odejść, abys mógł znaleźć spokój i odpoczynek przed porannymi nieszporemami.

Greville spojrział w górę na Klodiusza, ale jego uwaga przesunęła się ponad jego ramieniem i w stronę odległego sufitu. Jego pusty wzrok spoczął na wirujących obrazach rozległego fresku. Widział skrzydlate Demony zabijające Anioły. Widział latające Diabły przebijające krąg błękitnego ognia, z mieczami uniesionymi w górę, gdy ścinały głowy trzem bezimiennym królom. Oszołomiony Greville uśmiechnął się słabo i skinął głową, jakby akceptował przerażające wydarzenia pod sufitem.

Klodiusz uderzył Greville'a w twarz. „Patrz na mnie! Wychodzimy! Kiedy uznam, że nadszedł właściwy moment, oczekuję, że pospieszysz do drzwi katedry. Nie zwalniasz ani nie zatrzymuj się! Trzymaj się Nie patrz na nic, tylko na drzwi; będę tuż za tobą. Zbierasz mnie?

„Tak, musiałem spać – a jednak jestem w stanie. Czy możemy już iść?” – zapytał Greville, wyciągając rękę do Klodiusza, by pomógł mu wstać. Z tyłu rozległ się głośny huk i odwrócili się jak jeden mąż, by odkryć, że wielki kamienny krucyfiks spadł ze ściany. Jego resztki leżały rozrzucone po podłodze niczym sterta roztrzaskanych kamieni.

fragmenty. Jednak ze wszystkich rozrzuconych odłamków żaden nie stanowił rozpoznawalnej części dawna rzeźba Jezusa, ponieważ każdy rozbity fragment należał tylko do tego, co kiedyś było rzeźbionym, kamiennym krzyżem. Z dłońmi splecionymi razem, Klodiusz zaczął podnosić Greville'a na nogi, gdy...

„Syk!” – za Klodiuszem rozległ się ostry, chrapliwy dźwięk, niczym syk rozwścieczonego kota. Klodiusz obrócił się w miejscu, gdy Greville szarpnął się do tyłu, a obaj mnisi padli na podłogę. Zamarli tam, gdzie siedzieli, z szeroko otwartymi oczami i oszołomieni, a ich szaty łopotały na katedralnym wietrze. Wpatrywali się w twarz czegoś, co każdy święty człowiek mógłby sobie wyobrazić jako niewypowiedzianą ohydę. Przed nimi stała kamienna figurka, która wcześniej była przymocowana do rzeźbionego krzyża. Teraz stała, oderwana, wysoka jak być może mały pies. Jej ciało przypominał szakala. Jednak poza iglastymi zębami, jego głowa pozostała niezmieniona i zgodna z wcześniejszym wizerunkiem wyrzeźbionego Jezusa, wraz z cierniową koroną. I w przeciwieństwie do przednich łap, które stały osobno, wyprostowane i niczym nieskrępowane, jego tylne łapy leżały tyłem do podłogi, obie zdawały się być przybite gwoździami i przymocowane do dużej pozostałości dawnego kamiennego krzyża. Groteskowa statua pełzła w ich kierunku, ciągnąc za sobą swój wygięty do tyłu zad i wciąż przyczepiony kawałek skały. Clodius i Greville odskoczyli od zbliżającej się kamiennej figury.

„Ryk!” – donośny głos wyłaniającego się Cyclopa poniósł się po wnętrzu katedry, na chwilę zagłuszając wszelkie dźwięki. Klodiusz zauważył olbrzyma wpatrującego się w niego jednym wielkim okiem. Posąg oderwał dłoń od sufitu, drugą uniósł ogromny miecz i zaczął schodzić z narożnej podstawy kolumny, gdy obaj kapłani zerwali się na równe nogi i rzucili się do ściany. Kamienny olbrzym uderzył obutą w sandał stopą o posadzkę kościoła, powodując pęknięcia w kamiennych płytach, rozprzestrzeniające się spod jego obcasa. Kamienie i pył z dachu obsypały poruszającą się statuę. Nagle pozbawiona podparcia część dachu katedry zawaliła się, a w ogłuszającym chaosie potężna kolumna gruzu spadła na olbrzyma.

Cyklop roztrzaskał się pod wpływem nagłej siły i wszystko rozsypało się na podłodze w lawinie żwiru i kamieni. Ogromny kłęb kurzu potoczył się po podłodze, unoszony przez wiatr, rozwiewając go dokładnie wszędzie i zasłaniając cały widok na kościół. Po podłodze biegła kamienna postać szakala, ciągnąc za sobą złamany fragment krzyża. Pomknęła w kierunku środka katedry i wpadła do częściowo zamkniętej jamy. Niczym ropiejąca zaraza, piekło pochłonęło katedrę, nie oszczędzając żadnej świętej ikony. A enigmatyczna chwila przerodziła się w coraz gorszy koszmar.

„W górę!” krzyknął kapitan Bourne. Żołnierze szarpali, a liny się naciągały, gdy płyta ołtarza przesuwała się dalej, trąc o splekaną podłogę. W wyjąłym wietrze i kłębach kurzu mężczyźni stali niemal głusi i ślepi. Z jedną trzecią dołu przykrytą powoli nasuwającą się płytą, coraz szersze szczeliny w podłodze syczały z sykiem.

ziewające kłęby lodowatej mgły. Jakiś mężczyzna krzyknął, choć wydawało się, że to tylko półsłówkami. Bourne natychmiast dostrzegł puste miejsce w szeregach – i dużą szczelinę w podłodze, z której wyzierała kolumna mgły i kryształków lodu. Przemknął przez szeregi i przeskoczył rozszerzające się pęknięcia w kamiennych płytach. Jednak było za późno; nie mógł nawet zlokalizować swojego żołnierza w głębokiej szczelinie, która zdawała się sięgać nawet głębin piekła. Krzyknął do reszty bezczynnych ludzi, którzy teraz trzymali pary bezpłomieniowych pochodni: „Natychmiast okrążcie formację! Jeśli któryś z nas spadnie, zajmijcie tę pozycję natychmiast!”. Odwrócił się do przeciwległej ściany. „Armond; bądźcie gotowi przejąć dowodzenie!”. Gdy mężczyźni upuścili pochodnie i zaczęli się wycofywać z dołu, Bourne okrzykiem rozsiadł się na szczelinie w podłodze. Przypiął się do liny, zastępując swojego poległego człowieka, i ostrzegł wszystkich żołnierzy na linach: „Ciagniemy jak jeden mąż i giniemy jak jeden mąż!”.

„W górę!” krzyknął Bourne. Siniaki zacisnęły się na linach. Drżący mężczyźni syczeli i jęczeli. Ołtarz znów się poruszył. Z wirującej kolumny sypał się grad lodu, obrzucając każdego żołnierza. Mężczyźni byli mokrzy i brudni od kurzu, niektórzy krzywili się pod mroźnymi brodami, a wszyscy mieli na twarzy ten sam wyraz strachu i desperacji, jaki można było zobaczyć tylko w ferworze zaciętej bitwy.

„Hurra!” Przez szybko rozpraszającą się tumany kurzu, które niegdyś pochłonęły całą katedrę, Kapitan nie spuszczał wzroku z coraz bardziej odsłaniających się szczątków Iśniącej Kraty Brata, która wciąż uwalniała z gardła serię świetlistych Zjaw. Jedna po drugiej wylatywały z ust trupa, każda uciekając szybciej niż poprzednia – aż gardło trupa zatrzepotało i beknęło z tak intensywną powtarzalnością, że pękło wzdłuż. Nagle cała głowa i szyja mnicha pękły, rozciągając się równo z ramionami i we wszystkich kierunkach, niczym szybko dojrzewający, mięsisty kwiat. Z pozostałego bezgłowego torsu wystrzeliła olśniewająca kolumna Duchów, wrzeszcząc i pulsując w górę. Wyższe partie katedry roily się od świecących, półprzezroczystych form. Wszędzie zjawy zniknęły i pojawiały się na suficie, ścianach i podłodze — cała katedra migotała nienaturalnym blaskiem.

Płyta ołtarzowa zaczęła się przesuwac krótkimi seriami, gdy potężny kamień przetoczył się po blokującym ciełe Brata Grata, a z każdym ruchem ciężkiego kamienia bezskórny tors zginał się dalej do tyłu, aż jego ogromny ciężar złamał kręgosłup. Ciało przewróciło się i gwałtownie zgięło na bok. Pod tym makabrycznym i nienaturalnym kątem, trzepoczące resztki głowy oderwały się, by zostać pochłonięte przez ryczącą czarną kolumnę poniżej. Nagle wytrysk z gardła ustał, ale jego rozszerzony otwór na szyję nadal Gardłowy jęk – w zgodzie z każdym pchnięciem płyty ołtarzowej. Jednak poskręcane szczątki ostatecznie zniknęły pod przesuwającym się kamieniem. W końcu, w chwili, Wydawało się, że to wieczne, ogłuszający ryk zaczął cichnąć; wiatry ucichły; kurz opadł, a donośny łomot wstrząsnął posadzką katedry. Z płytą ołtarzową

Zablokowani na miejscu, Bourne i jego ludzie w końcu zajęli dół. Cichy grzmot wciąż rozbrzmiewał w podłodze, świadcząc o wirującej kolumnie poczerńniętych szczątków ciała, wciąż szalejącej pod zwieńczeniem ołtarza.

Chociaż kardynałowi Blasiemu udało się otworzyć Kamień Bramny – na tyle, by uwolnić armię Duchów – nigdy nie znalazł okazji, by wyrecytować resztę fragmentów, które mogłyby ich posłać na Anglików pod Crecy. W związku z tym stado bezcelowych Widm po prostu krążyło wokół sufitu, bez żadnego kierownictwa ani rozkazu.

sortować.

„Do diabła z tobą, Kardynale!” Głos Bourne’a rozbrzmiał w zapadającej ciemności, a jego brzmienie szybko zniknęło w smugach nakładających się ech.

~*~

Na zewnątrz kościoła, po drugiej stronie terenu opactwa, Odyn wyrwał przez wiecznie zielone krzewy. Jego kolana niemal ugięły się pod ciężarem mdłości, gdy patrzył, jak czterech żołnierzy wynosi bezwładne szczątki Iwana przez główne wejście do katakumb. Zanieśli ciało do łaźni, gdzie umieścili je pod zewnętrznym murem. Odyn przełknął łzy, skupiając myśli na Łazarzu. Przyglądał się żołnierzom, którzy stali skupieni na dziedzińcu, a ich uwaga skupiła się wyłącznie na kościele. Mężczyźni wskazywali w powietrze, na świetliste Zjawy, które wyłaniały się z dachu katedry. Żółte, świecące postacie krążyły wokół kościelnych wież, goniąc się nawzajem wśród wysokich, tarasowych rzędów kamiennych Grotesek. Razem roiły się niczym gołębie, które walczyły o miejsca do spania.

Nie mogąc odnaleźć Łazarza w katakumbach, żołnierze Bourne'a wrócili na powierzchnię i wyszli na dziedzińiec, by odkryć mgiełkę jarzących się Duchów unoszących się nad górną częścią katedry. Zahipnotyzowani surrealistycznym spektaklem rozgrywającym się przed nimi, strażnicy zebrali się wraz z towarzyszami broni, odwróceniem plecami do rzędu krzewów, gdzie ukrywał się Odyn – mnich dostrzegł swoją szansę.

Odino wyrwał się z krzaków i przemknął bocznym wejściem do budynku katakumb. Pobiegł długim korytarzem, skręcił za róg i przycisnął ucho do... Drewniane, żelazne drzwi wejścia do katakumb. Następnie otworzył je ostrożnie i odkrył, że nie są strzeżone od środka. Wciąż niezauważony, zszedł po słabo oświetlonej klatce schodowej i pomknął korytarzami, skręcając w tę i z powrotem, schodząc głęboko w ziemię i w dół nieprzerwanym przejściem, które nie prowadziło nigdzie indziej, jak tylko do Studni.

Dotarłszy do Studni, Odino wsunął pochodnię w ciemną jamę i wyszeptał: „Łazarzu?”. Jednak pomieszczenie było puste, a jedynym źródłem dźwięku był bulgoczący dźwięk podziemnego źródła, które płynęło przez szeroki rów w podłodze. Odino wszedł do środka.

w środku. Przesunął się na drugi koniec pokoju, gdzie złapał jedną z wielu Drewniane wiadra na wodę ustawione wzdłuż ściany. Podeszedł do rowu i postukał wiadrem o skalne dno. „Łazarzu? Gdzie jesteś? To brat Odyn”. Następnie przesunął pochodnię nad rowem i zaczął szukać pod wodą.

Odyn trzasnął wiadrem o podłogę. Roztrzaskało się, gdy Odyn krzyknął: „Łazarzu, wyjdź!”. W jednej chwili powierzchnia podziemnego strumienia pękła, a Łazarz ukrył się w małej jaskini pod podłogą – wypełnionej powietrzem kieszeni, która powstała w wyniku wieków erozji. Na szczęście tylko pięć dusz wiedziało o jej istnieniu: Łazarz, Odyn, dwóch zdeformowanych giermków o imionach Miguel i Thateus, którym Łazarz powierzył swoje zaufanie, oraz krzepki, srebrnowłosy mnich, który teraz leżał na łożu, na zawsze ucichła.

„Czy ojciec—?”

„Tak. Iwan odszedł, Łazarzu; ale zawsze będzie z tobą – tutaj” – odpowiedział Odino, klepiąc Łazarza w pierś. Przełknął ślinę z trudem. „Teraz posłuchaj mnie, chłopcze; czasu jest niewiele. Musimy się spieszyć!” Odrzucił resztki wiadra na bok, ucisnął wyciągniętą dłoń Łazarza i wyciągnął go z wody. Łazarz pociągnął kapiącą maskę z paska i wycisnął z niej wodę, gdy Odyn odebrał mu ją i wrzucił do strumienia. „Nie ma takiej potrzeby. Twój świat się zmienił – inaczej”. Łazarz patrzył, jak rwący nurt porwywa maskę. I

kaptur na twarz wpadł przez wytarty otwór w ścianie i na zawsze zniknął w ciemnych wodach pod ziemią.

Uciekli z Otchłani Studni i pobiegli krętym tunelem. Przed nimi ociężały mnich wepchnął płonąca pochodnię w zapadającą ciemność, a za nimi smuga dymu unosiła się na rzeźbionym dachu, podczas gdy strumień wody z kapiącej szaty Łazarza sączył się głębiej w tunel. Dalej, za ramieniem mnicha, odbicia w szerokich źrenicach chłopców wyglądały jak para jaskrawożółtych dysków w świetle unoszącego się płomienia pochodni. Łazarz przyspieszył kroku, jego mokra szata smagała i trzaskała, gdy upadał obok Odyna. Zapytał go: „Dlaczego Kamień Bramy krzyczy, mnichu?”

Odino zatrzymał się gwałtownie i oparł o ścianę, żeby złapać oddech, po czym skierował latarkę na parę niebieskich oczu. „Krzyk? Jak to krzyczy?”

„Słyszę to. W moim sercu – dźwięk tego. Nawet teraz dochodzi stamtąd”. Łazarz wskazał na najwyższe partie skalnej ściany tunelu.

Odino rozważył słowa Łazarza i zdał sobie sprawę, że chłopiec wskazywał w stronę katedry – w samo jej serce. Mnich zbeształ go: „Nie będę już więcej słuchał tych oszczerstw, chłopcze! A teraz milcz, żeby nas nie usłyszano!”. Znowu pobiegli tunelem.

Pospiesznie przemierzali labirynt korytarzy katakumb. W końcu Odino wślizgnął się do kwater chłopców i ochryple warknął: „Wychodźcie z tej mokrej szaty!” .

Oparł się o ścianę wejścia. „Czy macie świeże ubranie?”

„Mam je pod łóżkiem.”

„No to chodź z nimi; nie mogę się tam schylić! Masz inny kaptur?”

„Tylko to, które mi zabrałeś, zakonniku.”

„Nieważne. Rozbierz się i ubierz się szybko”. Odino wyrwał z pokoju.

i w górę głównego korytarza, ale nie zobaczył niczego poza ciemnością, ponieważ Łazarz się ukrył i nikt nie zadał sobie trudu, by wymienić pochodnie katakumb. Mimo to Odyn stał na straży, nasłuchując subtelnego dźwięków i wypatrując odległego blasku sondującej pochodni.

Odyn odwrócił się i zobaczył Łazarza klęczącego przy jego łóżku i cicho płaczącego nad drewnianą skrzynią wypełnioną ubraniami.

„Co się stało, chłopcze?” syknął Odyn.

Łazarz położył dłoń na krawędzi pudełka. „Mam kaptur – nowy. I dwa więcej – jeden oznaczony dla Miguela, drugi dla Thateusa.”

„Ruszaj, Łazarzu! Nie czas!” Odyn rzucił się z pochodnią, pociągając wyjęli szaty i maski z pudełka i położyli je na łóżku.

Łazarz otarł twarz, zerwał się na równe nogi i szybko się rozebrał. Odyn podał pochodnię nad łóżkiem, podczas gdy wolną ręką rozdzierał ubrania. Chłopiec krążył w kółko, chwytając się za pierś, nagi i drżący. Pod niemal każdym względem szczupłe ciało Łazarza wydawało się tak normalne, jak każdego chłopca w jego wieku, pomijając brak śladu pępka na brzuchu. Jednak największą różnicą między Łazarzem a innymi giermkami nie były zgarbione plecy, jak przypuszczali mieszkańcy opactwa – giermkowie, zakonnicy i opat. Z wyglądu jego kręgosłup był idealnie prosty, jak u każdego sprawnego chłopca. Zdecydowanie najbardziej rzucającą się w oczy różnicą było

że Łazarz miał parę złożonych, błoniastych skrzydeł z ciała i kości.

Łazarz rozpostarł skrzydła i energicznie strząsnął z nich wodę. Złożył je z powrotem na plecach, garbiąc się i odwracając, by poszukać Odyna. Zmarszczył brwi, a krople wody spływały po jego zmarszczonym czole.

„Wybacz mi, zakonniku” – rzekł Łazarz, spuszczać wzrok.

Odino skinął głową w stronę łóżka Łazarza. „Wysusz się kołdrą”.

Łazarz tak uczynił, a Odyn wyciągnął rękę. „Teraz się ubierz”.

Gdy chłopiec się ubierał, Odino pokazał mu kolejny komplet ubrań rozłożony na łóżku, w tym szatę, przepaskę biodrową, kaptur i dwie pary rękawic. „Nocne powietrze jest zimne; będziesz nosił oba opatrunki, jeden na drugim. Pospiesz się i skończ z tym!”

Odino poklepał go po ramieniu, pobiegł z powrotem do drzwi i stanął na straży, podczas gdy Łazarz był zajęty. „Posłuchaj mnie, Łazarzu. Opuszczamy katakumby. Jednak na terenie opactwa jest wielu żołnierzy, którzy zrobią wszystko, co w ich mocy, by powstrzymać...

Nasza ucieczka. I choć osłona ciemności jest nasza, nie można nas zobaczyć ani usłyszeć – i musimy poruszać się jak wiatr”. Odino stłumił kaszel i spojrzał na Łazarza. „Czy mnie rozumiesz, chłopcze?”

„Tak, bracie. Ale może schowajmy się w katakumbach – tylko do jutra” – zasugerował Łazarz drżącym głosem. Mnich dostrzegł wyraz poważny niepokoju na jego twarzy, tuż zanim chłopiec nałożył mu maskę na głowę. Odino najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że Łazarz niewiele wiedział o świecie poza katakumbami, poza tym, co mógł wyczytać z ksiąg skryptorium opactwa. Łazarz zacisnął sznurówki kaptura i dodał: „Żołnierze mogą nas tu nie zauważyć. Wiem o pustej ścianie w tunelu Benion...”

Odino przeszedł przez pokój, złapał chłopca za ramię i potrząsnął nim. „Nie! Musisz wziąć się za siebie! Katakumby już nie istnieją. Nie ma już pochodni do zapalania ani gaszenia; nie ma już winiarstwa; nie ma już czyszczenia ścian i podłóg. Od tej chwili jedyne rozkazy, którym należy się podporządkować, będą pochodzić bezpośrednio od ciebie. I będziesz żył lub umierał według tych rozkazów! Nie popełnij błędu, Łazarzu! „Jeszcze nie będę mnichem...”

„Bez wyjątku, Łazarzu. Twoje życie od tego zależy!” Łazarz opuścił ramiona i głowę i stał w milczeniu.

Odino puścił go i westchnął. „O co teraz chodzi?”

„Boję się, bracie.”

Odino uklęknął przed nim. „I lepiej, żebyś był!” Kapłan wskazał na sufit. „Ci ludzie tam na górze cię zabiją, jeśli cię złapią. Strach to warunek, by utrzymać cię przy życiu. Strach jest dobry”. Potrząsnął pochodnią. „Strach jest twoim przyjacielem, nigdy nie daj się wystawić na próbę ani zdradzić”. Odino zdjął drugą maskę z łóżka. „A teraz nałóż drugi kaptur na jedną i natychmiast zawiąż trzecią parę rękawic na obie!” Odino podniósł się gwałtownie i wrócił do drzwi.

Łazarz pospiesznie się ubrał, gdy Odino go pouczał. „Nie jesteś już chłopcem – jesteś mężczyzną – tak?”

„Tak, bracie” – mruknął Łazarz, nakładając drugą maskę na pierwszą i chwytając kolejną parę rękawiczek.

„Więc przypomnij sobie moje imię; jakie jest moje imię?”

„Nazywasz się Brat Delon Odino, Bracie.”

„Nieprawda! Zbierz to dobrze – chłopca o imieniu Łazarz już nie ma. Wyrósł na mężczyznę. Mówi i zachowuje się jak jego ojciec”. Odino uderzył otwartą dłoń w kamienne ściany, a Łazarz drgnął, szybko obracając ciemne oczodoły swojej maski w stronę mnicha. „Jesteś teraz Iwanem! Jesteś Iwanem. Teraz odpowiedz mi jeszcze raz, tylko tym razem tak, jak mógłby to zrobić Iwan. Jak mam na imię?”

„Odino” – odpowiedział Łazarz, wciąż skupiając uwagę na rękawicach.

„Dobrze” – odpowiedział Odino z krótkim uśmiechem. „Tego wieczoru staniesz się dumnym człowiekiem”

Ojciec. Przywołasz siłę z niego – z samego siebie. On będzie cię prowadził duchem, aż do końca twoich dni. I na zawsze będzie z tobą”. Odyn poklepał się po piersi. „Tu; w twoim sercu”. Odyn spojrzał w dół, czując mały przedmiot ukryty pod szatą. „Ach, tak. Nalegał, żebyś to miał, gdyby coś... no... tutaj”. Wolną ręką kapłan naciągnął skórzany naszyjnik.

Z szyi chłopca zwisał mu naszyjnik, a na cienkim pasku wisiał miniaturowy, drewniany krzyż, który Łazarz natychmiast rozpoznał jako krzyż modlitewny Iwana. Odyn podszedł do chłopca i zarzucił mu naszyjnik na głowę, po czym schował krzyż pod szatę. „No i masz, jesteś Iwanem. A Iwan nigdy nie płacze, prawda?” Łazarz spojrzał na Odyna, jego niebieskie oczy błyszczały w świetle pochodni przez parę dziur w masce.

„Nie, fria... nie, Odino” – odpowiedział Łazarz. „Jestem ubrany”.

„Więc ruszajmy”. Odino poklepał go po ramieniu. „I cokolwiek nas spotka, pamiętaj tylko, że musisz pospiesznie uciekać z tego opactwa i trzymać się od niego z daleka. Jeśli żołnierze mnie złapią, nie możesz się oglądać ani wahać. Samemu mnie nie zabijają; ale jeśli cię złapią, zabiją nas oboje – ciebie, za to, kim jesteś, i mnie, za to, że pomogłem ci w ucieczce”. Odino zmrużył oczy. „Moje życie jest w twoich rękach. Nie zawieź mnie, Łazarzu”.

Łazarz potarł niewielki przedmiot ukryty pod szatą i odchylił ramiona do tyłu. „ Nie zrobię tego, Odyno.”

Odino rzucił płonąca pochodnię na łóżko, a płomień natychmiast pochłonął kołdrę. Dym buchnął na kamienny sufit i wylewał się na korytarz.

Łazarz przypomniał sobie list Naramsina i jego liczne strony pełne napisanych symboli. Rzucił się naprzód i wsunął rękę w słomę materaca, ale nie znalazł żadnych papierów. Odyn go odciągnął. „Co ty, na litość boską, wyprawiasz?”

„Miałem tam zwój pergaminu!” – wykrzyknął Łazarz, wskazując na płonące łóżko. „Już go nie ma.”

„Daj spokój”. Odino odwrócił głowę Łazarza od płomieni i spojrzał mu prosto w oczy. „Masz wszystko, czego potrzebujesz. A teraz posłuchaj mnie. Jeśli nas odkryją, masz wrócić do Studni i schować się w jaskini pod nią. podłoga – jak poprzednio. Ciemność i dym cię okryją, tak?”

„Tak zrobię” – odpowiedział Łazarz.

Mnich skinął głową, ocierając z czoła świeże krople potu. „No to lecimy – jak wiatr” – syknął.

Odyn nasłuchiwał w pobliżu drzwi, zanim pospiesznie poprowadził Łazarza mrocznym korytarzem. Za nimi blask trzaskającego ognia przygasł, a charakterystyczne elementy korytarza pogrążyły się w ciemniejszych cieniach. Odyn prowadził się przez czarny tunel, jak to często robił podczas nocnych pielgrzymek do piwnicy z winami; przesuwał palcami po ścianie i szukał pamiętnych punktów, które mogłyby mu wskazać drogę. Łazarz kroczył tuż za nim, maszerując

Przeszedł przez korytarz i szybkim, pewnym krokiem niczego nie dotknął. W ciemnościach władczy chód chłopca mógł wydawać się identyczny z chodem jego ojca; długie, żmudne kroki, dudniące obcasami, zdawały się poruszać ziemię pod nim. Mnich i giermek razem pokonali zakręt i pospiesznie ruszyli w stronę odległej poświaty na końcu korytarza.

W końcu tunel otworzył się na wysoką przeszkodę z szerokimi schodami prowadzącymi w górę, ku kamiennemu podestowi. Na szczycie podestu, niestrzeżone, żelaznymi pasami, drewniane drzwi oznaczały wejście do katakumb opactwa. U stóp schodów katakumb migocząca pochodnia z trudem gasła resztkę płomienia. Z niej żarzący się, czerwony żar spadł na podłogę i zgasł. Odino wspiął się po schodach, pokonując połowę schodów, zanim odkrył, że Łazarz już za nim nie podąża. Zatrzymał się i odwrócił, by dostrzec chłopca stojącego pod słabnącym światłem pochodni i wpatrującego się uważnie na podłodze. Kapłan prychnął i zszedł po schodach. Dopiero wtedy kapłan dostrzegł przyczynę roztargnienia chłopca. Łazarz wpatrywał się w podłogę i badał rozległą plamę krwi, która zaledwie chwilę temu płynęła w żyłach Iwana.

„Nie teraz!” Odino chwycił go za ramię i razem pobiegli po schodach. Mnich uchylił drzwi katakumb i nasłuchiwał – ale usłyszał tylko ciszę. Otworzył je gwałtownie.

Drzwi i wpadł do korytarza. Zanim jednak skręcił za róg, zerknął przez ramię i zobaczył chłopca stojącego nieruchomo na progu – wydawało się, że Łazarz widzi siebie stojącego na skraju wielkiej otchłani, patrzącego w dół. Odino cofnął się o kilka kroków i skinął na Łazarza. „Teraz!”

Łazarz wziął głęboki oddech, zanim wbiegł przez drzwi. Wtulił się w Odyna, zaciskając pięści na ścianie szaty mnicha.

„Dobrze. A teraz trzymaj się blisko”. Odyn oderwał go. Choć Łazarz nic nie powiedział, Odyn usłyszał jego przyspieszony oddech i wyobraził sobie szeroko otwarte oczy pełne przerażenia, ukryte pod maską, która nie zdradzała niczego. Nagle, z sąsiedniego... korytarzu, trzasnęły drzwi, głos zbliżających się żołnierzy stawał się coraz głośniejszy.

„Bądź silny, Łazarzu!” – zawołał Odino, niosąc swój ciężar wzdłuż korytarza. „Szybko” – syknął do chłopca znad ramienia. Z Łazarzem tuż za plecami, obaj uciekli przed hałasem.

Obaj wypadli bocznymi drzwiami budynku i ukryli się za rzędem wysokich, wiecznie zielonych krzewów, które rosły wzdłuż muru opactwa. I tam pozostali, nieruchomi, podczas gdy chłodne powietrze i słabe światło wschodzącego księżyca rzucały wyraźną mgłę na szybkie oddechy. W kierunku katedry usłyszeli głosy kłócących się żołnierzy, którym towarzyszyły sporadyczne okrzyki komend. Dźwięki wypełniały nocne powietrze: parskanie rumaków, tupot butów, trzaskanie drzwi i brzęk metalu – dziedziniec ożywał odgłosami krzątającej się armii. Odyn

Pociągnął za szatę Lazarusa i gestem nakazał mu iść za nim. Razem przeszli przez ciasną przestrzeń za żywoplotem, opierając się plecami o mur. Cicho, krok po kroku, zbliżali się do południowej bramy opactwa, a głosy rozmawiających żołnierzy stawały się coraz głośniejsze z każdym krokiem. Odino położył palec na ustach, dając Łazarzowi znak, żeby milczał.

Mnich ostrożnie rozsunął krzaki, by dostrzec czterech żołnierzy stojących na dziedzińcu, z dala od otwartej i niepilnowanej bramy opactwa, odwróconych do niego plecami i spoglądających w górę na odległy dach katedry – na chmurę jarzących się Zjaw, która roiała się nad nim. Ponownie pociągnął Łazarza, po czym rozsunął koniec żywoplotu i wyraźnie wszedł na polanę. Gdy żołnierze pozostali, Odino wyciągnął Łazarza zza krzaków i wepchnął go tak energicznie przez bramę, że chłopiec o mało się nie potknął i nie upadł. Niemniej jednak obaj bezpiecznie wślizgnęli się w ciemność i, w szczęśliwym zbiegu okoliczności, to samo Zło, które spowodowało Nakaz Łazarza, aby ukrył się, gdyż żołnierze mogą go znaleźć i zabić, posłużył temu, kim był, aby odwrócić uwagę żołnierzy i umożliwić mu ucieczkę.

Niczym cienie poruszające się w słabym blasku wschodzącego księżyca, zlecieli ze zbocza wzgórza w kierunku pola krótkiej, suchej trawy, naznaczonego rzędami kamieni i krzyży – w stronę cmentarza opactwa. Przemknęli przez kopce i nagrobki, aż dotarli do samego końca cmentarza. Odino ukrył się za wysokim na głowę głazem, zasłaniając Łazarza przed wzrokiem patrolujących żołnierzy.

I tam się ukryli przed wszystkimi. Odino oparł się o skałę, łapiąc powietrze. Łazarz stał obok niego, rozglądając się niemal wszędzie naraz. Przeszukiwał trawę, nagrobki, odległe wzgórza, wschodzący czerwony księżyc i rozległe niebo usiane niezliczonymi gwiazdami. „Nie podoba mi się to” – zauważył. „Świat jest za duży”.

Odino złapał oddech i westchnął. „I jeszcze bardziej się rozrośnie, zanim minie wieczór”.

Łazarz odwrócił się i zapytał: „Więcej niż teraz?”

Mnich zgarbił ramiona i jęknął: „To się nigdy nie uda. Muszę iść po prowiant”. Spojrzał na chłopca. „Znam niestrzeżoną ścieżkę, która zapewni bezpieczne przejście do dormitorium i z opactwa, o ile strażnicy bramy będą rozproszeni”.

„ Uciekliśmy, jesteśmy bezpieczni!”

„Nie, Łazarzu. Jesteśmy ponad dzień drogi od najbliższej wioski i wciąż pół nocy drogi od najbliższego schronienia, które mogłoby zapewnić ci odpowiednią osłonę przed słońcem – i nie mamy żadnego prowiantu na nadchodzące dni, poza szatami na plecach”.

„Możemy natknąć się na prowiant po drodze” – zasugerował Łazarz.

„Gdyby tylko świat był tak łaskawy. Niestety, nie znajdziemy takich zapasów na opustoszałej ścieżce, którą musimy przemierzyć. Jedynym sposobem na rozpalenie ognia i jedynym

„Świeża woda, którą mamy do dyspozycji, pozostaje ukryta w tych murach” – oznajmił Odino, kiwając głową w stronę południowej bramy opactwa. „A ostatni kawałek jedzenia między tym miejscem a Ujściem Góry jest teraz ukryty w dormitorium, ponieważ zebrałem wszystkie resztki zapasów kuchennych”.

Łazarz spojrział na zachód. „Mountain Mouth to jaskinia; tam” – powiedział, wskazując w kierunku ciemnego horyzontu.

„Rzeczywiście” – odpowiedział Odyn. „I właśnie tam musisz teraz być – bezpieczny przed słońcem. Pamiętasz jaskinię, prawda?”

„Tak. Mój ojciec opowiadał mi o Mountain Mouth. A brat Mikołaj opisał mi: jak to znalazł.”

„Czy wierzysz, że możesz mnie do tego doprowadzić w zaledwie pół wieczoru?”

„O tak! Mogę cię tam zaprowadzić! Brat Mikołaj powiedział: jeśli ktoś pójdzie dokładnie na zachód, nie zbaczając ani na krok, pójdzie prosto do Górskiego Ujścia. A ja nigdy nie zbaczam; zobaczysz”.

Odyn odetchnął z ulgą, doskonale zdając sobie sprawę, że Łazarz ma coś w rodzaju boskiego zmysłu orientacji, nawet większego niż ktokolwiek inny żyjący – zmysłu być może tak niezawodnego, jak zmysł każdego ptaka wędrownego. Był przekonany, że Łazarz nie pozwoli sobie zboczyć z zachodniej ścieżki na odległość większą niż rzut kamieniem, nawet gdyby był zmuszony iść w tym kierunku nocami. Odyn odwrócił się w stronę opactwa i mruknął: „Wreszcie, to może zadziałać na naszą korzyść. Powinienem przynieść prowiant, podczas gdy żołnierze będą zajęci”.

„Ale żołnierze nas dopadną!” krzyknął Łazarz, ściskając w garści szatę Odyna.

„Nie” – odpowiedział mnich, odwracając się i odrywając dłoń chłopca. „Muszę iść sam. Nie możemy ryzykować, że cię złapią”.

Łazarz poklepał głaz. „Więc powinienem zostać tutaj – za tą skałą?”

Odino pokręcił głową. „Nie możesz. Jeśli tu zostaniesz, patrolujący żołnierze mogą cię natknąć. A jeśli się spóźnię, możesz nie mieć czasu, żeby się schować przed słońcem”. Odino spojrział na wschód i dostrzegł jasny, rozdęty księżyc. Łazarz przeszukał ciemniejszą, zachodnią krawędź cmentarza, zanim odwrócił się do Odyna. „Gdzie więc mam się ukryć?”

„Nie tutaj. Ujście Góry” – odpowiedział Odino. „Podróż to zaledwie pół wieczoru. Czas jest po twojej stronie. I wiesz, jak go znaleźć, prawda?”

Lazarus spuścił głowę. „Być może. Tylko jeśli Mikołaj mówi prawdę, ale...”

„Mikołaj ma rację, Łazarzu. Pokazał twojemu ojcu i mnie Górskie Ujście. Byliśmy przy tym, kiedy nadał mu nazwę”.

„Powinniśmy jednak wyjechać razem – ty i ja. A jutro możesz wrócić do Opactwa i przynieść prowiant, prawda?”

„Nie, Łazarzu. Podróż jest wymagająca – przeprawa przez wiele wzgórz i dolin”. Odyn otarł spocone czoło rękawem. Położył drżącą dłoń na

Żołądek ścisnął mi się w żołądku i pokręcił głową. „Nie jestem w stanie iść tam i z powrotem. Jestem ciężarem nawet dla siebie – nawet bez dźwigania ciężkiego worka z prowiantem. Jeśli nie umrę z przenikliwego zimna i zrobię to, co sugerujesz, wracając jutro, to... Jak mam się przemknąć obok żołnierzy, kiedy wigilijne zamieszanie minie, a strażnicy wrócą na swoje stanowiska?” Odino wskazał za głaz i mur opactwa. „Patrzcie tam, na szczycie katedry – na te rzeczy, które ten nowy kardynał uwolnił z Kamienia Bramy”. Łazarz spojrzął na dach i iglice kościoła, których górne partie były teraz oświetlone przez gromadzący się rój bezkształtnych Zjaw. Odino kontynuował: „To są Duchy swego rodzaju i jestem pewien, że Chcą zrobić coś więcej niż tylko rozbawić nas swoim spektakularnym pokazem. Nie, ich obecność i ruchy zdradzają mi, że o wiele większe zło dopiero ma się wydarzyć w tym Opactwie. Nie wiem co; a jednak nawet teraz zdają się gromadzić jako armia Duchów. Zobacz, jak się poruszają i zbierają w rzędy, między figurami na dachu. Jedna prawda jest pewna, mój chłopcze. Nie będzie nas tu, kiedy przyjdą się zorganizować. Muszę więc ruszać teraz, póki żołnierze są zajęci nimi i nowym dymem katakumb. Teraz jest czas, by zdobyć prowiant, bo to będzie łatwe .

„Złapią cię, wiem, że tak” – poskarżył się Łazarz, ponownie zakładając szatę mnicha .

Odyn położył ręce na biodrach i odchylił się do tyłu. „A założmy, że mnie złapią. Co zrobią z pojmanym mnichem? Proszą o przebaczenie? Łazarzu, nawet żołnierze czczą swego Pana. Nic mi nie zrobią, choćby za to, kim jestem – duchownym i sługą Bożym. A teraz, co najważniejsze, musisz nieść...

Udaj się do bezpiecznego schroniska Mountain Mouth, zanim zapadnie zmrok. Spotkam się tam z tobą, z postanowieniami.”

Łazarz puścił szatę Odyne i spuścił głowę.

„A poza tym” – dodał Odyn – „jeśli spróbują mnie złapać, to ich wszystkich zbiję koźą i wypuszczę!”

Łazarz podniósł wzrok i pokręcił głową. Mnich wyczuł, że pod maską chłopca kryje się uśmiech, choć może subtelny . Chłopiec jednak odwrócił się od niego i wpatrywał w dal.

Odyn uklęknął przed Łazarzem i położył mu dłoń na ramieniu. „Oczekuję, że będziesz silny, tak jak twój ojciec. Niesiesz jego krzyż ze sobą. I sprawisz, że będzie dumny, prawda?”

„Tak zrobię, mnichu” – mruknął Łazarz.

Odino rozejrzał się po okolicy, szukając śladów żołnierzy. „I jesteś pewien, że możesz iść dokładnie na zachód?”

„Mogę” – potwierdził Łazarz. „Ale ty już to wiesz, bracie”. W jego głosie zabrzmiała nuta irytacji .

„Tak, wiem”. Odino poklepał go po ramieniu i wskazał na zachód. „Z miejsca, w którym stoimy,

Masz iść dokładnie na zachód przez pół dnia, a Mountain Mouth będzie twoje. Nie być widzianym lub słyszany po drodze. Nie zbaczaj ani na chwilę – twój kurs nigdy nie powinien. Wachajcie się, żebyście nieświadomie nie ominęli góry. Unikajcie wszystkiego, zachowajcie prostą i wąską ścieżkę do jaskini. Czy mnie zbierzecie?

„Tak, bracie.”

„A jeśli się zdarzy, że nie dotrzesz do jaskini przed świtem, musisz się osłonić przed słońcem. A jeśli nie, to wydrążyć dziurę i zakopać się w ziemi i kamieniach”. Odino pochylił się i mocno potrząsnął go za ramiona. „To bardzo ważne, Łazarzu! Słońce cię zabije! Umrzesz! Widziałem to – to okropna i bolesna śmierć! Twoje ciało zamieni się w kamień, na wskroś, nawet gdy krzyczysz! I nie ma odwrotu. Słońce będzie twoją śmiercią, Łazarzu – potem nie będzie życia”.

Łazarz nic nie powiedział. Odino go puścił. Dla mnicha milczenie i sztywna postawa chłopca wydawały się wystarczającą odpowiedzią.

„A teraz oczekuję, że odejdziesz stąd – pozostało tylko zło. Nigdy nie oglądaj się za siebie i nie wahaj się z żadnego powodu”. Odino poprawił szatę chłopca. Ponownie rozejrzał się po okolicy, po czym szturchnął chłopca, by odszedł. „Zabierasz mnie?”

„Tak, bracie.”

Łazarz ruszył w stronę czarnego, zachodniego horyzontu. Wpatrywał się przed siebie, gdy wołał: „A ty wkrótce przyjdiesz po mnie – tego wieczoru?” Jego głos trzeszczał od drżących słów.

„Zbierzemy się u Ujścia Góry wczesnym rankiem, jeśli Pan pozwoli” – zapewnił go Odino. „To dzięki niezachwianej wierze i niezłomnej determinacji przetrwasz to, co cię czeka. Jesteś teraz mężczyzną, Łazarzu. Jesteś synem swojego ojca; i dźwigasz wszystkie jego ciężary i błogosławieństwa. Nie chwiej się w roztargnieniu, pokusie ani zamięcie. Nie zbaczaj ze swojej drogi. Jesteś teraz Iwanem. Ruszaj! I milcz pod nogami!”

Chłopiec wyprostował ramiona i ruszył w głąb cmentarza. Odino obserwował z daleka, jak odziana w szatę sylwetka zlewa się z czernią nocy. W końcu postać zniknęła w cieniu pobliskiej doliny. Minęła chwila i zachodni wiatr przetoczył się przez okolicę. Dopiero gdy Odino upewnił się, że chłopiec odszedł już wystarczająco daleko, osunął się na głąz.

Pod nim, w blasku księżyca, łzy spływały po powierzchni kamienia. Odino płakał nad Iwanem, bo Iwan nie mógł płakać nad przerażonym Łazarzem; płakał nad Łazarzem, bo Łazarz udawał „Iwana”, którym nie był gotowy się stać; i płakał nad sobą, bo nigdy nie będzie mógł być „Iwanem”, którym Iwan był dla Łazarza.

Niestety, w samotności, która go natychmiast ogarnęła, Odino rozpadł się na kawałki, czując się niczym gruby mnich, który upadł na okrągły kamień, zbierając się w sobie, by stać się zaledwie bezpłodnym pyłkiem człowieka, przytłoczonym i utopionym w jakimś wielkim i strasznym potopie.

szalejąca pustka i tęsknota — płacz i dręczenie się skrywanymi smutkami, pośród rozległego cmentarza opactwa, pełnego dawno zmarłych i głuchych uszu.

[Koniec rozdziału 7]



To dzieło literackie zostało stworzone d wyłącznie w dedykacji

Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.gothicnovel.org)~